

Biblioteka UMCS LUBLIN

2015. 2552/1977/11

## SZERYF NA BAGNACH

Wacław Biały str. 12

## Jacy są Szwajcarzy?

Andrzej Wąsek str. 9

ROK ZAŁOŻENIA 1933

# Kammena

LUBLIN 29 V 1977 Nr 11 (627)

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

CENA 3 ZŁ

### Ja - klient pytam dyrektora

**W**OLAŁ, pan rozmawiać z mną, kiedy już na pewno będzie wiadomo, że pańska placówka zdobyła laury w konkurencji krajowej — zwracam się do Stanisława Staniszwskiego, dyrektora lubelskiego oddziału Dómw Towarowych Centrum. — Laury zdobyte i gratuluje, choć wcale mnie to nie nastraja do optymistycznej pogawędki. Jako klient wiem, że bywa rozmaicie, na przykład z zaopatrzeniem lubelskiego domu towarowego.

— My tu dla pana przygotowaliśmy zaproszenie.

Czytam: Domy Towarowe Centrum, Oddział w Lublinie, Dyrekcja i Rada Zakładowa mają zaszczyt zaprosić w dniu 12 maja 1977 r. na uroczystość wręczenia sztandaru przechodniego ministra Handlu Wewnętrznego i Usług oraz przewodniczącego Zarządu Głównego ZZPHiS za zajęcie I-szego miejsca we współzawodnictwie międzyzakładowym.

— Trudno, zaczniemy od zasług, panie dyektorze. Co was wywindowało na tak wysokie miejsce we współzawodnictwie za rok 1976?

— Przede wszystkim wzrost dynamiki sprzedaży. W ubiegłym roku osiągnęliśmy obrót 670 300 000 złotych. Dla porównania: w roku 1975 mieliśmy 547 500 000 złotych.

— Istnieją pewne korekty cen i...

— Owszem, ale istnieją w całym kraju, a większą od naszej dynamikę sprzedaży uzyskiwały tylko warszawskie domy towarowe.

— Czym przyciągnęliście klienta?

— Zaopatrzeniem bardziej urozmaiconym niż w innych przedsiębiorstwach handlowych miasta, na co złożyły się własne kolekcje odzieży, bezdekwizowa wymiana towarowa z krajami socjalistycznymi.

— Na przykład?

— Artykuły fotooptyczne z NRD, galanteria dziecięca z Czechosłowacji, otrzymane w ramach tej wymiany.

— A własne kolekcje?

— Tym zajmuje się Anna Pol, nauczycielka z Technikum Odzieżowego w Lublinie, wykazując zresztą dużo inwencji i samozaparciu w prowadzeniu tematów do końca. Projektuje kolekcje ubiorów, wzorcuje tkaniny.

Dokończenie na str. 8-9

### 1 VI - Dzień Dziecka



J. H. Kowalewski

## Życie partii jest tak bogate...

# DZIENNIKARZ

Mirosław Derecki

**T**RZYDZIEŚCI lat bez mała z reporterskim notatnikiem w ręku... Porębskiego znają na całej Lubelszczyźnie nie tylko z artykułów w „Sztandarze Ludu”, ale bardzo często — również osobiście. Region, w którym zbiera materiały do swoich publikacji, przejechał wzdłuż i wszerz, a miejscami przemierzył na piechotę. Zaczynał pracę wtedy, gdy dziennikarz docierał w teren własnym samochodem, bo samochód w redakcji był prawie nieosiągalnym luksusem, a autobusy FKS kursowały na nielicznych tylko trasach. Mimo to zjawiał się punktualnie na zebraniach gromadzkich w odległych, nadbużańskich wioskach, uczestniczył w narodzinach grup partyjnych, pisał reportaże o zawiązujących się spółdzielniach produkcyj-

nych, odwiedzał nowo powstałe PGR-y i POM-y koło Lubyczy Królewskiej czy Tomaszowa Lubelskiego. Dzisiaj, w wieku czterdziestu siedmiu lat — do których jakoś nie może dopasować się swoim młodym wyglądem — jest Porębski w „Sztandarze Ludu” postacią wyjątkową: związany z początkowym, „pionierskim” okresem gazety, etatowy dziennikarz o najdłuższym stażu w tym piśmie, zaczynał karierę publicysty partyjnego, kiedy wielu jego obecnych redakcyjnych kolegów nie było jeszcze na świecie.

O redaktorze Józefie Porębskim mówi się w środowisku dziennikarskim po prostu: „Józek”, bo jakoś tak się przez lata utarło, ale zarazem pamięta się, że Józek jest jednym z najlepszych w kraju publicystów zajmujących się

problematyką partyjną, dziennikarzem podchodzącym do tematu w sposób nieszablonowy i zawsze z ogromnym zaangażowaniem osobistym. Życie partii jest tak bogate — powiada Porębski — a my wciąż się dopiero uczymy pisać o tym życiu, pokazywać jego barwność i złożoność. Zdarzają się też problemy niezwykle trudne, wymagające od publicysty wielkiego doświadczenia życiowego i partyjnego. Może dlatego wielu dziennikarzy garnie się do tej publicystyki, bo łatwiej jest pisać o rzeczach bardziej wymiernych, jak na przykład przemysł, czy handel, niż o ludzkich postawach życiowych, często bardzo skomplikowanych, o zaangażowaniu, o ludzkich działaniach...

Dokończenie na str. 7



# HISTORIA JEST DZIEŁEM LUDZI

Marek Burczyk

**B**LISKO 1200 delegatów ze 125 krajów świata, z wszystkich kontynentów, reprezentujących kilkadziesiąt organizacji międzynarodowych i rządowych, różne przekonania polityczne i społeczne, różne religie i światopoglądy — opuściło już Warszawę, rozjechawszy się do swych domów. Z murów rotundy Sali Kongresowej sfrunął charakterystyczny, biało-błękitny gołąb pokoju z czterech symbolicznych cegieł, autorstwa Karola Sliwki, a z lamów prasy poznikały doraźne doniesienia i komentarze, poświęcone Zgromadzeniu. Wszakże jego waga z upływem czasu nie maleje, lecz — przeciwnie — rośnie i będzie rosła nadal — tak długo, jak długo jego słowa i dokumenty docierają będą do coraz to nowych milionów mieszkańców tego globu; tak długo, aż nie zmaterializują się nowymi faktami pokoju.

Po raz drugi z Warszawy i po raz trzeci z naszego kraju rozległy się na cały świat słowa dobrej nadziei. I wówczas, przed 29 laty, i teraz są to słowa wagi najwyższej. Wtedy, we Wrocławiu, zwiastowały narodziny ruchu, współokreślającego — jak się później okazało — współczesność i przyszłość świata. Dziś potwierdziły sens trzech dziesięcioleci wytrwałych zmagani, sens i zasadność historycznego optymizmu komunistów, którzy ruchu tego są najkonsekwentniejszymi bojownikami. Z warszawskiej, zgromadzeniowej trybuny temu realistycznemu optymizmowi taki oto — programowy i praktyczny — wyraz dał Edward Gierak: Sądźmy, że świat lat 70-tych dojrzał do podjęcia śmielszych, bardziej energicznych kroków dla utrwalenia i przeświadczenia o skuteczności zbiorowych działań jednostek, grup i narodów. Historia jest dziełem ludzi i od ludzi tylko zależy, czy potrafimy jej nadać nowy, prawdziwie ludzki kształt.

Na jeden z sześciu dni zgromadzeniowych obrad przypadł ten, który — u-

wolniona od zmyru — wdzięczna ludzkości nazwała Dniem Zwycięstwa. Trudno o bardziej syntetyczny skrót genezy i drogi, którą przebył ten ruch. Zrodzony ze zwycięstwa nad największą z gróźb, jakie zawisły nad rodzajem ludzkim, rosnący milionami działań ludzi dobrej woli, wsparty całą moralną i materialną potęgą socjalistycznej wspólnoty — Ruch Pokoju ma na swym koncie nieprzemijające zwycięstwa, będące — i to jest najwyższą pochwałą — oczywistą cząstką naszej codzienności lat 70-tych.

Przed 27 laty z Warszawy, z gmachu obecnego Domu Słowa Polskiego, wyszło w świat — w czasie obrad II Światowego Kongresu Pokoju — wezwanie o likwidację kolonializmu i rasizmu, z równoczesnym apelem o rozwój międzynarodowej współpracy w dziedzinie gospodarczej i kulturalnej. Świat znajdował się wówczas w okowach zimnej wody, a nie brakowało takich, którzy sposobili się jak najszybciej rozpalili ogień gorącej — i to jądrowej. Nie bez kozery I Apelu Sztokholmskiego, pod którym swoje podpisy złożyło pół miliarda ludzi, zwracał się przeciw szaleństwu — potępił broń atomową i uznawał za zbrodniarza wojennego każdego, kto ośmieliłby się jej użyć.

Dziś — jeśli nie liczyć ostatnich enklaw — system kolonialnego zniewolenia ludów należy już do przeszłości, a jawnie rasistowskie reżimy, jak południowo-afrykański apartheid, spotykają się z niemal powszechnym potępieniem międzynarodowej społeczności. Oddalone zostało złowrogie widmo atomowej pożogi, czego formalno-prawnym wyrazem są międzynarodowe układy o zakazie większości doświadczeń termojądrowych i o nierozprzestrzenieniu tej broni masowej zagłady. Zaś idea pokojowego współistnienia, bezpieczeństwa i równoprawnej współpracy narodów, bez względu na dzielące je społeczno-polityczne rozbieżności, utrwalała sobie drogę do helsińskich porozumień i dalej — mimo klód rzucanych

przez tych, którym świat bez wojen, napięć i nienawiści nie w smak — toruje sobie szlak ku porozumieniom tych coraz pełniej realizacji.

Tak więc Światowe Zgromadzenie Budowniczych Pokoju zamyka bilans solidny i budzący nowe nadzieje. Sama jego nazwa świadczy o jakościowych zmianach — jakie, również pod wpływem Ruchu Pokoju, nastąpiły w sytuacji międzynarodowej. To prawda, że pokoju nadal jeszcze trzeba bronić, bo są wciąż tacy, którzy chętnie by go zdeptali. Ale akcent dziś pada na pokój budowanie, a więc umocnienie tego, co w zasadzie już obronione zostało.

Zgromadzenie obradowało na sesjach plenarnych, ale także — w 10 komisjach specjalistycznych, na licznych konferencjach „okrągłego stołu”, forach i spotkaniach kontynentalnych. Chodziło o maksymalne ogarnięcie całej skomplikowanej materii współczesności, chodziło o maksymalnie roboczy charakter prac. Wszakże nie w tych liczbach i nawet nie w tych, które wymieniliśmy na wstępie, a za którymi stoją przecież miliony i miliony bojowników i budowniczych pokoju całego świata — upatrywałbym największego tytułu Zgromadzenia do naszej najwyższej uwagi. Upatrywałby przede wszystkim w intelektualnym i politycznym dorobku, podsumowującym dotychczasowe doświadczenia i rezultaty walki o pokój, wytyczającym nowe w tej mierze zadania. Zadania, którym na imię: pokój, wolność i sprawiedliwość społeczna dla wszystkich narodów, dla obecnych i przyszłych pokoleń; także umocnieniu procesu odprężenia, które uczyni je nieodwracalnym; rozszerzeniu odprężenia politycznego na sferę militarną; powstrzymanie dzisiejszego obłędnych wyścigu zbrojeń i podjęcie skutecznych kroków rozbrojeniowych. Za tymi zadaniami, za tym programem opowiedziało się już 400 milionów sygnatariuszy II Apelu Sztokholmskiego.

Dorobek ten zawarty jest w pierwszym rzędzie w przyjętych przez Zgromadzenie dokumentach, ale także — w każdym wypowiedzianym ze zgromadzeniowej trybuny głosie dyskusyjnym.

Oto dyskusja w Komisji Praw Człowieka. Dowodnie ukazuje, jak wiele jest jeszcze na naszej planecie do zrobienia w dziedzinie zapewnienia przestrzegania podstawowych, najbardziej choćby elementarnych praw ludzkich; jak wciąż niewiele jest takich krajów, w których ludzie naprawdę mogą korzystać z należnych im praw i swobód. Wstrząsające fakty terroru, tortur, łamania umysłów i charakterów, wyzwanie z praw i ziemi ojczystej, pozbawiania pracy — mówią o nich delegaci Senegalu, Chile, Haiti, Palestyny, Płn. Irlandii, RFN, Boliwii, Australii — jednoznacznie świadczą, kto i co, jakie siły społeczne, jaki ustrój rodzi te haniebne praktyki i jest ich sprawcą. Wielkim głosem oskarżają kolonializm i neokolonializm, współczesne odmiany faszyzmu, oskarżają imperializm. Jednocześnie wykazują, ile fałszu i hipokryzji, ile zimnej, antykomunistycznej kalkulacji politycznej kryje się za rozpętaną ostatnio przez określone kółka na Zachodzie kampanią oszczerstw na temat rzekomych naruszeń praw człowieka w krajach socjalistycznej wspólnoty. Na trybunie staje młody chłopak z Północnej Irlandii. Lamującym się głosem zdaje relację z tortur, jakich dopuścili się wobec niego żołnierze brytyjskich sił pacyfikacyjnych. Pada pytanie, czy ci, którzy są winni takich bestialstw, mają jakiegokolwiek moralne prawo, by występować wobec świata w tożde obrońców praw człowieka?

Ale Lon-Nole i Ngo-Dinh-Diemy, Caetanowie i „czarni pułkownicy” przemijają. Dlatego, gdy do uhonorowanego najwyższym odznaczeniem Światowej Rady Pokoju — Złotym Medalem im. Fryderyka Joliot-Curie — Larisa Corvalana i żony Prezydenta Hortensji Allende Sekretarz Generalny Rady, Romesh Chandra, zwraca się: — spotkamy się w Santiago de Chile, sala przyjmuje te słowa nie jak życzenie, przyjmuje je jak stwierdzenie tego, co stać się musi.

Intelektualiści, ludzie sztuki w Zgromadzeniu, w Ruchu Pokoju... Silny to i trwały watek — równie dawny, jak sam ruch. Mówi na ten temat Jarosław Iwaszkiewicz do przedstawicieli PAP-a: Początki sięgają oczywiście 1948 roku, kiedy to z polskiej i francuskiej inicjatyw zorganizowany został we Wrocławiu pamiętny Kongres Intelektualistów. Po raz pierwszy po wojnie, w zrujnowanym polskim mieście Wrocławiu, spotkali się przy konferencyjnym stole najbardziej wybitni i ściani pisarze, uczeni, myśliciele, artyści, kompozytorzy z 45 krajów. Pamiętam takie sławy, jak Pablo Picasso, pisarza Martina Nexö, Aleksandra Fadijewa, wielką uczoną Irenę Joliot-Curie(...). W tym społecznym, wielomilionowym ruchu ludzi dobrej woli wielka jest rola i pole do działania dla przedstawicieli kultury i sztuki: Mają oni możliwość wpływania przez swoją twórczość na odczucia mas, kształtują opinię publiczną, wpływają na zdarzenia i przeżycia. Ludzie kultury tam — we Wrocławiu — pierwsi podnieśli głos w obronie najsłabszych i najbardziej ideałowości. Czas nie zmniejszył ich roli i znaczenia w dalszym budowaniu świata bez wojen.

Trudno w krótkim tekście choćby zasygnalizować tematykę Zgromadzenia, jest to właściwie niemożliwe. Wiecej jeszcze tylko, na zakończenie, oddajmy głos dwóm z tych uczestników, którzy mówili o Warszawie — o tym, dlaczego właśnie Ona?

Sekretarz Generalny Światowej Rady Pokoju, Romesh Chandra: Zgromadzenie odbywa się w stolicy Polski nie przypadkowo. Warszawa — to symbol wstrząsających zniszczeń, które spowodował i może znów spowodować faszyzm i agresja; to także symbol odrodzenia. Trudno znaleźć lepsze miejsce dla Zgromadzenia, które w swej istocie spogląda w przyszłość — przyszłość trwałego pokoju.

Pisarz argentyński, Alfredo Varela: Polskę, a szczególnie Warszawę, traktuję jako bardzo bliskie i serdeczne miejsce na ziemi. Odwiedzałem Wasz kraj kilka razy — pierwszy raz w 1948 roku, kiedy uczestniczyłem w Kongresie Intelektualistów we Wrocławiu. Poznałem wówczas wielu znakomitych polskich pisarzy, z którymi przyjaźnię się do dzisiaj (...). Jako pisarz interesuję się rozwojem Waszej kultury. Muszę powiedzieć, że macie znakomity teatr; widziałem wiele Waszych sztuk klasycznych w wykonaniu artystów warszawskich. Zachwyca mnie ich nowatorstwo i wysoki poziom gry. Macie wspaniałe muzea i znakomitą grafikę. Kocham Warszawę, jej nowoczesność, jej symboliżm, jej nowoczesność, jej symfonię zieleni, którą zachwycał się tak Nazim Hikmet w swym wierszu o Warszawie — w wierszu, który przetłumaczyłem na hiszpański. W ostatnią niedzielę spacerowałem po Warszawie, odnajdywałem tu dawne wspomnienia, oglądałem ulice i domy, których jeszcze nie tak dawno tu nie było...

Tak, i chyba dlatego właśnie — Warszawa!

## KONKURS

Redakcja „Ideologii i Polityki” oraz Wydawnictwo „Książka i Wiedza” ogłaszają konkurs na reportaży, artykuł, wypowiedź autorską o pracy ideowo-wychowawczej Partii. Celem konkursu jest uzyskanie, a następnie upowszechnienie wartościowych materiałów, nacechowanych osobistą refleksją, odzwierciedlających problemy związane z życiem Partii w zakresie jej ideowo-wy-

chowawczego oddziaływania zarówno na członków jak i bezpartyjnych.

Konkurs organizuje się w 2 podstawowych kategoriach:

W kategorii I pt. „Z doświadczeń wykładawcy szkolenia partyjnego” proponuje się skupienie zainteresowań twórczych uczestników konkursu na następujących problemach: sposób wiązania treści programowych szkolenia partyjnego z aktualną polityką Partii; efektywność stosowanych metod szkolenia partyjnego w odniesieniu do konkretnych środowisk; proces przygotowania i przebiegu zajęć.

W kategorii II pt. „Skutecznie — to znaczy jak?” proponuje się skupienie zainteresowań autorów na najbardziej skutecznych i efektywnych formach oraz metodach upow-

szechniania treści ideowo-wychowawczych w miejscu pracy i środowisku zamieszkania, a szczególnie poprzez działanie organizacji partyjnych, zakładowe środki masowego przekazu, działalność szkoleniową, lektorską i agitacyjną, izby tradycji i perspektyw.

W konkursie może wziąć udział każdy publicysta, współpracownik prasy, działacz frontu ideologicznego. Liczba nadesłanych materiałów jest dowolna, prace nie mogą być dotychczas publikowane, objętość nie większa niż 20 stron maszynopisu. Termin nadsyłania prac upływa z dniem 30 IX 1977 r. Rozstrzygnięcie konkursu do 1 XI 1977 r.

Ustala się następujące nagrody dla każdej z 2 podstawowych ka-

tegorii: I — 10 000 zł, dwie II po 5000 zł, dwie III po 3000 zł, trzy wyróżnienia po 1000 zł.

Prace należy nadsyłać w 3 egzemplarzach maszynopisu pod adresem RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Wydawnictwo „Książka i Wiedza”, ul. Nowy Świat 27, 00-375 Warszawa, z dopiskiem na kopercie: „Konkurs redakcji „Ideologii i Polityki” oraz Wydawnictwa „Książka i Wiedza”. Prace powinny być opatrzone godłem.

Organizatorzy konkursu przewidują publikację nagrodzonych oraz innych wybranych prac za oddzielnym honorarium, zastrzegając sobie w tym względzie prawo pierwszeństwa. Nadesłanych prac organizatorzy nie zwracają.



**W**SRÓD organizacji młodzieżowych istniejących po wyzwoleniu na uczelniach linie integracji młodego pokolenia na gruncie idei Polski Ludowej jasno i jednoznacznie określały i konsekwentnie realizowały: najpierw Akademicki Związek Walki Młodych „Życie”, następnie Związek Akademicki Młodzieży Polskiej, a po 1950 r. Związek Młodzieży Polskiej.

Wracając myślą do tamtych dni przypomnijmy, że pierwsze lata władzy ludowej w Polsce charakteryzowały się ostrą walką polityczną. Niektóre środowiska z trudem uwalniały się spod wpływu burżuazyjnych i drobnomieszczańskich ugrupowań politycznych i wojskowych obozu londyńskiego — mówił na XIII Plenum KC PZPR Edward Gierek — Sily reakcji, nie cofając się nawet przed bratobójczymi wystąpieniami zbrojnymi, usiłowały pogłębić podziały polityczne i rozpętać wojnę domową, aby przeszkodzić ustanowieniu władzy ludowej i postępowym przemianom społecznym.

Zjawiska te miały swoje odbicie w różnorodnych tendencjach i orientacjach politycznych występujących w polskim ruchu młodzieżowym, toteż tocząca się wówczas walka o młodzież, o „kadry dla przyszłości” obejmować musiała nie tylko problemy związane z nauczycielami akademickimi, ale i ze studującą młodzieżą. Zarówno skład społeczny młodzieży i profesorów, jak i bezpośrednie powiązania organizacyjne z działającymi wówczas w kraju różnymi legalnymi i nielegalnymi organizacjami powodowały, że wpływy ugrupowań pravicowych na uczelniach były stosunkowo duże. Znaczna część młodzieży i kadry naukowej, zwłaszcza ze środowisk ulegających przedwojennym tradycjom nauczania i zachowawczym orientacjom politycznym, zajmowała pozycję wyczekującą. Reaktywowana po wyzwoleniu Bratnia Pomoc (w okresie międzywojennym w większości opanowana przez młodzież endecką), grupując często sporą część aktywnych studentów, sympatyzujących z opozycją, w znacznej mierze podtrzymywała wsteczne tradycje i stanowiła teren walki między siłami pravicowymi a lewicą. Również wiele kół naukowych starało się prowadzić działalność na gruncie niby apolitycznym, mimo że wielu ich członków miało za sobą działalność polityczną i konspiracyjną. Nie też dziwnego, że dochodziło do zacieklej sporów ideowych. Tak było na UMCS-ie, a w szczególności na KUL-u — wspomina były przewodniczący Koła Naukowego przy Studium Zagadnień Społecznych i Gospodarczych Wsi na KUL-u, Franciszek Markiewicz. — W istocie rzeczy w naszym kole ścierały się koncepcje chadecckie, agrarystyczne, no i jak byśmy powiedzieli dziś, socjalistyczne. Zauważmy i to, że były czynione usilne starania — bynajmniej nie ze strony marksistów — ideologicznej infiltracji do kół naukowych lubelskich uczelni.

W istocie rzeczy Bratnia Pomoc i koła naukowe, stojąc na gruncie „apolityczności” nie tylko nie podejmowały spraw wychowawczych w duchu idei Polski Ludowej, ale zachowując w najlepszym przypadku obojętność wobec dokonujących się w kraju przemian społeczno-ustrojowych, w praktyce przyciągały do siebie elementy niechętnie, a nawet wrocie Polsce Ludowej.

Nielatwa więc była sytuacja powołanego na zjeździe studentów — członków ZWM i PPR — we wrześniu 1945 r. Akademickiego Związku Walki Młodych „Życie”.

W zeszłym roku — czytamy w sprawozdaniu Zarządu Głównego AZWM za styczeń—kwiecień 1947 r. — nawet jeszcze w początkach tego roku akademickiego dala się zauważyć pewna nieufność w stosunku do organizacji i jej członków, uważano nas często za diabły ucielone w ludzką postać, wiele nam epitetów przypisywano — nie uważano nas za kolegów.

Mimo to na początku roku akademickiego 1945/46 zawiązało się na UMCS-ie, podobnie jak i w innych uczelniach kraju, koło AZWM. Jego znaczenie było tym większe, że dopiero 3 grudnia 1947 r. powstało tam koło Polskiej Partii Robotniczej. I chociaż AZWM „Życie” w styczniu 1946 r. liczył zaledwie 600 członków, zaś w Lublinie w lutym 1947 r. było 42, a w listopadzie — 160 „życiowców”, to jednak mówiono o nich, iż „była to siła dynamitu”.

„Życiowcy” prowadząc ostrą walkę polityczną zabiegali o to, aby pozyskać dla idei Polski Ludowej jak najwięcej dotychczas biernych, wątpliwych i zdezorientowanych studentów. I to chyba nie tylko odległość lat powoduje — wspomina w książce „Studenckie lata” Alojzy Sroga — że moja ocena działalności AZWM była i jest jak najbardziej entuzjastyczna. Ci koledzy nie mieli w sobie nic z ważności niektórych dzisiejszych działaczy młodzieżowych (czasami przerosniętych), nie oczekiwali dla siebie żadnych przywilejów z racji swej organizacyjnej przynależności, jak to niekiedy bywało potem czasem w ZAMP, byli ogromnie spragnieni wiedzy, byli bez umiaru życzliwi dla innych, niezwykle koleżeńscy, gotowi zdjąć ostatnią koszulę dla potrzebującego pomocy. No i cecha najważniejsza — ich ideowy żar, który musiał przekonywać każdego, kto ich obserwował w codziennym życiu.

Związek odegrał również kolosalną rolę w realizacji postanowień dekretu Prezydenta Krajowej Rady Narodowej z 24 maja 1945 r. o utworzeniu wstępnego roku studiów. Wszystkie ognia ZWM rozpoczęły nań rekrutację młodzieży robotniczej i chłopskiej. AZWM zaś stwierdzając, iż teren akademicki posiada wadliwą strukturę społeczną, najzupełniej nie odpowiadającą liczebnemu stosunkowi poszczególnych warstw w naszym społeczeństwie, wyszedł z inicjatywą utworzenia kursów przygotowawczych. W czerwcu 1946 r. zorganizowano je w Lublinie i innych ośrodkach kraju. Stanowiące jeden z elementów wprowadzenia

w życie zasady powszechności oświaty i równego startu dla wszystkich, kursy spotkały się z atakami opozycji. Drobnomieszczaństwo lubelskie wyzydziało także rok wstępny.

A jednak w ostatecznym rozrachunku zwyciężyli uczestnicy kursów, wczorajsi robotnicy, wyrobniicy, chłopcy, nie zaś ironiści z „dobrych” lubelskich domów.

Wielkim, politycznym i ideologicznym dorobkiem ZWM był także jego wkład w budowę jedności młodego pokolenia, która została zrealizowana po raz pierwszy w Związku Młodzieży Polskiej. Jeśli zaś idzie o środowisko akademickie, to szczególną rolę w jego integracji odegrał AZWM.

Dla AZWM, podobnie jak całego ZWM, dążenie do jedności młodego pokolenia były realizacją części PPR-owskiego programu budowania jedności narodu. Wychodząc z tego założenia, Związek starał się wpływać na studentów o różnych postawach politycznych i światopoglądowych, wyjaśniając, że jedność jest potrzebna zarówno ze względu na wspólne zadania odbudowy, walki z reakcją i wychowanie nowego, demokratycznego pokolenia, jak też ze względu na sytuację naszego kraju na arenie międzynarodowej, że nie ma przeciwnych interesów między młodzieżą różnych warstw społecznych, że z tego wzajemnego powiązania i ze wspólnych zadań budowania kraju i człowieka — wynika się nasza jedność.

Budowa tej jedności wówczas była możliwa jedynie w zdecydowanej walce z siłami reakcyj-

## „Życiowcy” i ZAMP-owcy...

Mieczysław Wereski

nymi i zachowawczymi, nosicielami starych treści i koncepcji pedagogicznych. Trzeba było zatem wiele wysiłku AZWM „Życie”, dyskusji ideowo-politycznych, przewartościowań poglądów i przezwyciężenia różnorodnych wahań i zahamowań w pozostałych związkach, nim doszło do podpisania w dniu 6 marca 1948 r. umowy o współpracy między akademickimi organizacjami ideowo-wychowawczymi: Związkiem Niezależnej Młodzieży Socjalistycznej, Ogólnokrajowym Komitetem Studiującej Młodzieży Wiejskiej „Wici”, Związkiem Młodzieży Demokratycznej i Akademickim Związkiem Walki Młodych „Życie”. W konsekwencji 18 lipca 1948 r. na Zjednoczeniowym Kongresie Studentów we Wrocławiu powstał Związek Akademickiej Młodzieży Polskiej.

Ta ideowo-wychowawcza, polityczna, bezpartyjna i autonomiczna organizacja studentów polskich, działająca w ramach Związku Młodzieży Polskiej, kierująca się zasadą, że taka będzie przyszłość, jaką my stworzymy i uznającą pracę za najważniejszy przejaw działalności ludzkiej, swoje główne zadania sformułowała w hasle: Nasza praca dla Polski — to sprawa nauki. W statucie zaś stwierdzono, że pod pojęciem nauki nie rozumiemy jednak tylko mechanicznego przejmowania wiadomości. Chcemy nauki postępowej, zgodnej z ostatnimi zdobyciami myśli ludzkiej, chcemy wnikać w treść, w istotę nauki. Dążymy do wyzwolenia polskiej nauki ze stanu skostnienia i zacofania... dążymy do wzbogacenia o doświadczenia praktyki.

ZAMP, podkreślając potrzebę wiązania działalności naukowej z życiem kraju i dążeń do tego, aby kształtowanie młodych specjalistów łączone było z ich wychowaniem na świadomych, aktywnych i twórczych członków społeczeństwa, przygotowanych ideowo i moralnie do pełnienia obowiązków współbudowniczych i współgospodarzy Polski Ludowej, domagał się od nauczycieli uniwersyteckich akcentowania treści ideowych, zawartych w naukach społeczno-humanistycznych i biologicznych. Dlatego też, jak czytamy w uchwałach I Plenum Zarządu Głównego ZAMP, nowy rok akademicki winien zaznaczyć się ofensywą ideologiczną władz oświatowych i ZAMP na odcinku nauki. Będziemy na każdym kroku wykazywać klasowy charakter nauki i demaskować jej tzw. apolityczność. Stojąc na stanowisku wolności badań naukowych, będziemy walczyć z wszelkimi antymarksistowskimi teoriami. Wprzegniemy do tej walki martwe dotychczas w swej większości koła naukowe, ożywimy ich działalność, likwidując ich dotychczasowy charakter klubów towarzyskich i instytucji samopomocowo-gospodarczych, usuniemy z nich elementy wsteczne wprowadzimy do kół naukowych problematykę naukową, wychowawczą i społeczną.

I października 1950 r. wprowadzono na uczelniach dyscyplinę studiów. ZAMP organizował zespoły i kursy naukowe, inicjował kolektywne i indywidualne współzawodnictwo w nauce i powstawanie zespołów samopomocy koleżeńskiej, mocno akcentując osobistą odpowiedzialność studen-

tów za wyniki w nauce. Na tablicach pojawiły się listy przodowników nauki i bumelanatów, zaś w tzw. „błyskawicach” popularyzowano pierwszych, a krytykowano drugich.

Zarówno te, jak i inne poczynania Związku dawały rezultaty. Wzrastała liczba przodowników nauki i studentów zdających w terminie egzaminy. Na uczelniach lubelskich osiągnięto w tym zakresie sukcesy o znaczeniu ogólnokrajowym.

Trwałym elementem działalności ZMP była troska o ideologiczne szkolenie aktywów i członków organizacji, czytelnictwo prasy, upowszechnianie kultury, rozwój amatorskiego ruchu artystycznego, masowego sportu i turystyki. Sprawom tym również ZAMP nadawał wysoką rangę; rozwijając pracę ideowo-wychowawczą zarówno w Związku, jak i wśród młodzieży studiującej, wpływał na ożywienie życia ideologicznego, na podnoszenie poziomu wiedzy społeczno-politycznej młodzieży, na kształtowanie myśli i motywów, jakie towarzyszyły poczynaniom młodzieży studiującej.

Byłem aktywistą ZMP na niskim szczeblu, zarówno w organizacji szkolnej, jak i uniwersyteckiej — wspomina Tadeusz Strumiński. — Bardzo wyraźnie odczuwałem wówczas istnienie programu ideowego ZMP. Miałem pełną świadomość przynależności do organizacji, która przed każdym swoim członkiem stawiała nie tylko codzienne zadania, ale także zobowiązywała do określonych postaw politycznych, społecznych, obywatelskich. Cały ten program narzucony środkami zbyt drastycznymi,

formułowany niekiedy językiem zbyt drętowym — wiązał wszak mocno z organizacją, ponieważ był programem wyrazistym, konkretnym i dynamicznym.

Mam tu na myśli — po pierwsze — pewien radykalizm społeczny tego programu...

Element drugi — to sprawa współdziałania, współuczestnictwa „pokoleń zetempowskich” w rozwiązywaniu zadań, jakimi była ówczesna Polska. Na jednym planie — współdziałania ZMP w wielkich bataliach gospodarczych, politycznych. Zapewne nie każdy był entuzjastą pracy fizycznej w PGR-ach, ale ocena młodego człowieka — ocena społeczna, koleżeńska — zależała m.in. od stosunku do takiej pracy i jeśli czasem ów przymus moralny nie był słodki, to chyba z perspektywy lat nikt nie żywił pretensji do ZMP, a każdemu sympatyczna jest świadomość, że brał udział, że jakaś droga czy jakiś stadion zbudowany został także jego rękami. Tego uczestnictwa, tych prac było mnóstwo i dlatego właśnie — z uwagi na ich ilość — można mówić, że stanowiły istotny element codziennej pracy wychowawczej ZMP.

ZAMP przez cały okres swego istnienia aż do jesieni 1950 r., kiedy to plenum Zarządu Głównego postanowiło zlikwidować działalność autonomicznej organizacji ZAMP i włączyć ją do jednolitego Związku Młodzieży Polskiej, uczestniczył w różnorodnych akcjach i przedsięwzięciach ZMP. Lubelscy zampowcy brali udział w brygadach pracujących w PGR-ach przy wykopkach, budowie FSC, miasteczka uniwersyteckiego, a także opieko wali się kołami ZMP w zakładach pracy i na wsi, prowadzili działalność odczytową, oświatową i kulturalną.

Ten szeroki udział studentów w działaniach i pracach społecznych stanowił ważny czynnik pracy wychowawczej Związku.

Chcieliśmy robić coś nowego, lepiej i to nas łączyło — wspomina były ZAMP-owiec, Kazimierz Głowacz — Cenne było też to, że jeżeli się chciało być czymś w tej grupie, trzeba było przodować, być czymś lepszym, umieć coś zrobić samemu. Służyć organizacji, a więc kolegom, z którymi się do tej organizacji należało. Zadania stawialiśmy sami i sami wykonywali. Ceniona wśród kolegów była odwaga w stawianiu i obronie interesów większości.

Siła oddziaływania Związku wynikała więc i z postawy aktywów, który inspirował atmosferę społecznej aktywności i odpowiedzialności w nauce, pracy i życiu, wnosił nowe wartości do stylu pracy i obyczajów.

Ta garść wspomnień prowadzi do wniosku, że AZWM „Życie” i ZAMP to ważne ognia w historii studenckiego ruchu młodzieżowego, które przyczyniły się do integracji środowiska młodzieży akademickiej, do jej udziału w pracy ideowo-wychowawczej, odbudowie i przeobrażeniach kraju.



# GDY DYREKTOR SIĘ UPRZE...

Jan Niekonieczny



Władysław Ostasz

**C**ZY wielu ludziom chciałoby się jechać nawet wygodnym autokarem 680 km, aby obejrzeć spektakl operowy? Gdy wchodzę do Państwowego Ośrodka Maszynowego w Zamościu, na drzwiach wiszą właśnie ogłoszenia, że będzie taki wyjazd do Łodzi. Już są pierwsze zgłoszenia, może nawet — jak często przy takich okazjach — zabraknie miejsc.

Zamojski POM wyróżnia się nie tylko w pracy zawodowej, o czym będzie dalej, ale także uczestnictwem zarówno w konsumowaniu, jak i tworzeniu wartości kulturalnych. Załoga nie jest zbyt liczna — wszystkiego 549 pracowników i 80 uczniów pobliskiej szkoły zawodowej, którzy tu spędzają co drugi dzień. Jest więc zespół pieśni i tańca — 30 tańczących par oraz 18-osobowy chór. Występuje często w swoim mieście i regionie, a ponadto prezentował się trzy razy w NRD, dwa razy w Moskwie, raz na Węgrzech, kilkakrotnie w Warszawie, ostatnio na akademii pierwszomajowej. Wśród śniwaków jest sekretarz rady zakładowej, kierownik eksploatacji, rewident zakładowy, kasjerka. Wartość samych strojów, reprezentujących wszystkie regiony kraju, a także folklor białoruski, znacznie przekracza milion złotych. 14-osobowa kapela piełegnuje przede wszystkim muzykę polską.

Światlica jest pięknie urządzona. Tu czyta się gazety i czasopisma (POM abonuje ich ponad 30), gra w

szachy i warcaby, urządza dyskoteki i wieczorki taneczne (bez alkoholu), organizuje turnieje ping-ponga, ogląda różnego rodzaju wystawy, uczestniczy w spotkaniach z ciekawymi ludźmi.

— Moim zdaniem — mówi dyrektor POM Władysław Ostasz, a potwierdza jego zastępca do spraw technicznych Józef Komar — nie można traktować pracy zawodowej osobno, a pracy kulturalnej czy zajęć sportowych również osobno. Te trzy nurty powinny się łączyć w jeden, wtedy w każdej z tych dziedzin uzyskuje się najlepsze efekty. Nie będzie dobrym pracownikiem ten, którego po pracy ciągnie pod kiosk z piwem, do knajpy, który nudzi się. Rozrywka umysłowa czy sportowa daje nie tylko odprężenie psychiczne, ale także fizyczne, nie się z sobą jakąś wewnętrzną radość, tak bardzo nam potrzebną w codziennej pracy.

Istnieją więc w POM-ie dwie drużyny piłkarskie, chociaż brak miejsca nie pozwala na zbudowanie własnego boiska. Jest sekcja siatkówki i sekcja motocyklowa, która w roku ub. zdobyła złoty kask województwa. Każdy z 12 chłopców tej ostatniej sekcji ma własny motocykl, nie ma tu więc mowy o wyszumieniu się na koszt zakładu pracy.

Jest wreszcie koło wędkarskie, są myśliwi, drużyna ORMO, dziewięciu inspektorów ruchu drogowego. A prawie wszędzie przoduje liczące

ponad stu członków koło ZSMP. Warto jeszcze dodać że etat świetliczanki nie jest traktowany jako coś uciążliwego, co musi istnieć wobec wymagań różnych władz — jej uposażenie jest wyższe od przeciętnych zarobków w zakładzie.

Wiele trzeba było pracy, mądrego kierownictwa, a przede wszystkim prawdziwego zaangażowania aby obok wciąż wzrastających wymagań planu oficjalnego obudzić w ludziach takie zainteresowania, aby poprzez te różne formy działania przywiązać ich do zakładu pracy, przekonać, że nie samą pracą żyje człowiek. Wszyscy w zamojskim POM-ie są zgodni, że inicjatorem, a potem serdecznym opiekunem, ba — niespokojnym duchem, który nie może żyć bez tak wielostronnej aktywności, jest dyrektor Władysław Ostasz.

Pochodzi z pobliskiej wsi Zdanów. Gdy mieszkańców wysiedlili hitlerowcy, przysyłając tu swoich osadników, wraz z matką i siostrą schronił się u ciotki, oica wywieziono na roboty do Berlina. Rodzina odnalazła się dopiero po wojnie. Młody Władek zgłosił się do wojska, ale dostał odroczenie. Nie był tym zachwycony, bo odczuwał potrzebę działania, mimo młodego wieku zdawał sobie sprawę, że trzeba znaleźć jakąś konkretną robotę, której tak bardzo potrzebował. Ukończył więc kurs traktorzystów i wraz z 20 innymi młodymi ludź-

mi wyjechał do Wałęzy, gdzie wszyscy zabrali się do orania ugorów.

Widocznie wyróżnił się w tej pracy, bo wkrótce przeniesiono go na stanowisko kierownika warsztatów ciągnikowych, obsługujących dwanaście okolicznych PGR-ów. Pokażną część zarobków przeznaczał wtedy na zakup książek technicznych, przede wszystkim takich, które w jakiś sposób dotyczyły rolnictwa. Już jako fachowiec wraz ze swoimi ludźmi nie tyle wyremontował, ile z różnych części zmontował 20 ciągników, tak bardzo wtedy potrzebnych na ówczesnych Ziemiach Odzyskanych. Równocześnie zaczęła go pasjonować działalność polityczna i społeczna. Wstąpił do ZMP, został przewodniczącym zarządu gminnego, założył kilkanaście nowych kół tej organizacji, która tak pięknie zapisała swój udział w odbudowie kraju.

To była szkoła życia. Ale nie zapominał także o zwykłej szkole. Najpierw ukończył kurs brygadystów w Łodzi, potem kurs przygotowawczy na wyższe uczelnie w Szczecinie, będąc zarazem przewodniczącym zarządu uczelnianego ZMP. Mimo bardzo dobrych wyników na kursie, musiał zrezygnować z wyższych studiów. Zmarł szwagier, siostra została z dwójkiem małych dzieci, trzeba było wracać do Zdanowa, aby unormować życie rodzinne.

Niezbyt długo jednak wytrzymał w domu. Już po dwóch miesiącach, mając w kieszeni nie bez trudu zdobytą maturę, został najpierw kierownikiem skupu w zamojskiej mleczarni, a potem jej dyrektorem. Komitet powiatowy PZPR, oceniając sprawiedliwie zdolności i wyniki pracy tow. Ostasza, wysłał go do szkoły POM-owskiej, istniejącej wówczas w Ursynowie pod Warszawą. Bardzo się z tego ucieszył, bo przecież od dziecka czuł się rolnikiem, a od lat pasjonowały go te wszystkie sprawy, które można nazwać dziś mechanizacją rolnictwa. W mechanizacji bowiem widział przyszłość tej gałęzi naszej gospodarki narodowej. Jako pro-

**S**A tematy, których już z reguły publicyści i dziennikarze informacyjni nie ujmują pozytywnie. Należy do nich problematyka związana z gastronomią. Nic dziwnego, mają po temu niemal powódów. Jeżeli po swoich publikacjach nie chcą pozostawić zupełnie pesymistycznego wrażenia, trawestują różne złote myśli, w tym także bywałego w podróży po Europie i jej zajazdach Juliusza Słowackiego, z „Mojego Testamentu” Powiadają więc: „Niech żywi (eni) nie tracą nadziei!” Potraktujmy jednak tę często powtarzającą się żartobliwość poważnie. Jest nadzieja, że coś dobrego zaczyna się dziać na podwórku sławnej Lucyny Cwierciakiewiczowej, która w książce pt.: „365 obiadów za pięć złotych” (od roku 1860 aż 20 wydań), w czasopiśmie „Bluszcz”, kalendarzach i podręcznikach przypominała staropolską kuchnię. Symptomy tego polepszenia ujawniają się dość wyraźnie w Lublinie.

Prawie niepostrzeżenie wzięła tu przed czterema laty swój początek i zdołała się już utwierdzić ogólnopolska impreza w tej dziedzinie. Mam na myśli „Międzynarodowe Sympozjum Żywnościowe”, którego inicjatorem i głównym organizatorem jest Zespół Szkół Gastronomicznych przy ulicy 22 Lipca. Przedsięwzięcie to firmują również: Oddział Stowarzyszenia Naukowo-Technicznego Inżynierów i Techników Przemysłu Spożywczego oraz Koło Młodzieżowe tej organizacji przy wspomnianym Zespole Szkół Gastronomicznych, a swój współudział mają także Centralny Zarząd Sołdźnieli Spożywców „Społem” w Warszawie i Wojewódzka Komisja Terenowa Branżowa w Lublinie. Zapewne o tym, aby zbiorowe żywienie było lepsze, radzi się nieraz także w odpowiednim ministerstwie, zjednoczeniach, wreszcie w samych zakładach gastronomicznych „Społem”, bądź gminnych spółdzielni. W przypadku lubelskim po raz czwarty zjechała jednak młodzież, uczniowie najstarszych klas techników, liceów i zasadniczych szkół gastronomicznych z całego kraju, i w tym dopatruje się właśnie znaków optymistycznych, bo w wystąpieniach przyszłych absolwen-

tów przewijała się na ogół niezgoda na stan aktualny.

Nakazuję jednak sobie i zalecam moim czytelnikom spory umiar w tych nadziejach, albowiem ideały młodych to jedno, a praktyka codzienna drugie. Mało jeszcze między nimi spójności. Nawet interesujące tu nas sympozjum tę ostrożność nasuwa. Jego tematem były bowiem losy absolwentów szkół gastronomicznych. Zespoły uczniowskie z wybranych dwunastu techników całego kraju biedziły się nad badaniami w tej kwestii, wspomagane przez swoich pedagogów. We wszystkich przypadkach posłużono się dość wszechstronną ankietą rozpiętą wśród absolwentów danej szkoły. Połowa z tych opracowań została przedstawiona przez referentów, a połowa omówiona w jednym wystąpieniu. Przyjaźnie obradami opiekowały się poprzez swoich przedstawicieli Instytutu Żywności i Żywnienia warszawskiej SGGW i lubelskiej Akademii Rolniczej. Nie sposób poruszyć tu wszystkich kwestii, najbardziej interesujące są jednak te, które wiążą się z głównym tematem obrad.

Musi zatrwożyć wiadomość, że aż 85 procent absolwentów warszawskiego Liceum Gastronomicznego nie podjęło lub podjęć nie mogło w ubiegłym roku pracy w swoich specjalnościach, ani nawet w pokrewnych. Znaleźli się poza zawodem. Część zaczęła studia, ale większość zraziła się w czasie praktyk, nie ma jej w restauracjach, barach, kawiarniach, stołówkach, kuchniach szpitalnych itp., ponieważ nadto nikt na nich z utęsknieniem nie oczekiwał. Inne szkoły nie notują aż takiej porażki, jednak podobny los spotyka od 20 do 30 proc. ich byłych uczniów. Część pracę wprowadziła podjęła, ale na stanowiskach nie odpowiadających wyuczonej specjalności, więc odchodzi całkowicie, najczęściej jednak zmienia tylko placówkę, by znaleźć odpowiednie zajęcia w swojej dziedzinie.

Ta prawidłowość istnieje także w Lublinie i województwach wchodzących w skład śródkowo-wschodniego makroregionu, w którym absolwenci lubelskiego Zespołu Szkół Gastronomicznych pracują. Technikum Gastronomiczne, Liceum Zawodowe, policealne Studium Gastronomiczne, Technikum oraz Zasadnicza Szkoła Gastronomiczna, a nadto Średnie Studium Zawodowe i wieczorowe TG, a więc 7

## Nie ma zgody na marazm

Aleksander Jański

szkół stanowi Zespół pod jedną dyrekcją. Prawdziwy kombinat. Nie tylko w nim kształcą się tacy, którzy mają nas żywić. Przy Narutowicza działa od lat Zasadnicza Szkoła Zawodowa Doświadczająca, taka sama w Krańniku, w Puławach duży Zespół Szkół Zawodowych, w Dęblinie Zasadnicza Szkoła Zawodowa, a w Łęcznej Liceum Zawodowe. Sposobią się więc tam kucharze, cukiernicy i technicy żywienia zbiorowego, garmażerzy, bufetowi, dietetycy, kelnerzy itp. O ile w ub. r. placówki te dały ok. 650 absolwentów, w obecnym mają przygotować 880, w przyszłym 1020, w 1979 aż 1580. Wiąże się to z przewidywanym rozszerzeniem żywienia zbiorowego. Placówki gastronomiczne „Społem” i gminnych spółdzielni, stołówki zakładowe, kuchnie szpitali, domów czasowych, sanatoriów itp. będą mogły więc rozszerzyć swoją kadrę o fachowe siły. I w tym można właśnie pokładać spore nadzieje.

Gdyby wszyscy absolwenci szkół gastronomicznych z poprzednich lat — stwierdza wizytorka z lubelskiego Kuratorium Oświaty i Wychowania, inż. Hanna Kowalska — pracowali w istniejących u nas zakładach żywienia zbiorowego, stan byłby nie tylko zadowalający, ale bardzo dobry. Tak jednak nie jest. Występują tu omawiane już prawidłowości, a właściwie raczej nieprawidłowości ogólnopolskie. Bar-

bara Całkówna i Bożena Kielszoniówna, autorki referatu o losach absolwentów Zespołu Szkół Gastronomicznych w Lublinie, badaniami swoimi sąd ten potwierdzają. Pozytywnym wyrazem jest jednak to, że większość ankietowanych, gdy nawet pracę zmieniali, pozostawała w żywieniu zbiorowym, szukała bowiem jedynie zajęcia zgodniejszego z przygotowaniem, lepszej atmosfery pracy lub awansu. Niestety, około 20 proc. absolwentów Technikum i 30 proc. Zasadniczej Szkoły Gastronomicznej szukało zatrudnienia od razu lub po pewnym czasie w innych dziedzinach. Najczęściej bowiem osobom tym oferowano pracę, ich zdaniem, nieodpowiednią i za mało wynagradzaną. Badania te wykazały, że płace pracowników ze średnim wykształceniem gastronomicznym wynoszą od 1700 do 6000, a z zasadniczym od 1500 do 4600 złotych. Górna granica zarobków jest udziałem stosunkowo nielicznej grupy.

Czynnik motywacyjny? Klądzie na nie duży nacisk dyrektorka tego właśnie Zespołu Szkół Gastronomicznych, mgr Janina Podgórska. Jeżeli wybór szkoły nie był przypadkowy, motywacje pozostały silne. Właśnie sam początek, decyzja o wybraniu kierunku, to, co dało następnie uczniowi placówkę oświatową, ale i warunki w jakich przypada absolwentom rozpoczęcie pracy, mają trwały wpływ na ich samopoczucie. Jeżeli napotyka ją oni na



downik nauki został wysłany z Ursynowa na wycieczkę do ZSRR, a gdy wrócił do Zamościa, otrzymał nominację na dyrektora POM w Skierbieszowie.

— Na miejscu — wspomina dzisiaj dyr. Ostasz — zacząłem się drapać w głowę, od czego zacząć. Załoga w Skierbieszowie liczyła 70 osób, w tym 43 urzędników. Bilans wykazywał dwa miliony złotych strat. Było 26 mało sprawnych ciągników. 1 października, gdy przyjechałem na miejsce, na 800 ha było zaoranych zaledwie 70 ha. Jaka była opinia o POM-ie — lepiej nie mówić.

No tak, wystarczy powiedzieć, że w ciągu poprzednich pięciu lat Skierbieszów miał siedmiu dyrektorów, z których żaden nie zdał egzaminu. Zdał go dopiero dyr. Ostasz. Zdawał go uparcie, konsekwentnie, wbrew wszelkim trudnościom obiektywnym i subiektywnym. Co więcej — opracował sobie, tak na własny użytek, plan budowy dziesięciu placówek POM-owskich w regionie Zamościa. Zdążył z tego zrealizować sześć, gdy przyszedła zmiana w organizacji zaplecza rolnictwa. Przekazał więc pięć kółkom rolniczym, a centralę przeniósł do Zamościa — przy ul. Lwowskiej powstał POM, przewidziany na 50 pracowników. Chodziło o to, że Skierbieszów nie miał ani dobrego połączenia drogowego, ani telefonicznego z regionem, leżał nieco na uboczu.

Dzisiaj załoga zamojskiego POM-u jest dziesięć razy większa niż to pierwotnie przewidziano. Stąd ciasno w halach produkcyjnych, ciasno w zapleczu, wiele sprzętu musi stać pod chmurką. A jednak każdego zwiędającego zadziwi zarówno generalny porządek, jak i powszechna czystość. Dyrektor Ostasz i jego zastępca dyr. Komar, który oprowadza mnie po wszelkich zakątkach, słusznie powiadają, że praca wioziona w utrzymanie porządku i czystości bardzo się opłaca. Ludzie pracują wydajniej, chętniej, nie tracą czasu na szukanie jakiejś części. Maszyny stoją ciasno obok siebie,

ale każdą z nich można bez trudu przetransportować na stanowisko robocze lub oddać klientowi. Tak czystych umywalni, ubikacji czy szatni nie spotyka się nazbyt często nawet w hotelach wysokiej kategorii.

Niespokojny duch dyrektora Ostasza, jego już nie zaangażowanie, ale rozkośnienie w mechanizacji rolnictwa przejawiają się w niezwykle szerokiej gamie usług, jak również pomysłów i realizacji. Bo poza naprawami ciągników robi się tu wiele rzeczy, które właściwie powinny być wykonywane w zakładach innych przemysłów.

I tak rocznie regeneruje się tu ponad 40 tys. różnego rodzaju akumulatorów — ciągnikowych, kombajnowych i samochodowych. Dyrektor powiada, że nie mógł patrzeć na to, jak w całym kraju wyrzucano się na złom tysiące rzekomo wyeksploatowanych akumulatorów. Pojechał tu i tam, przekonał kogo trzeba, wydział, co potrzeba i dziś jest to największy w Polsce zakład regenerujący akumulatory. Był tu nawet cały transport akumulatorów włoskich do Fiatów rozbitych w czasie transportu z Turynu. Oglądałem kilkadziesiąt sztuk — w niczym, ani w działaniu, ani w jakości nie różnią się od nowych, a cena regenerowanych nie przekracza 75 proc. ceny nowych.

Przewija się tysiące silników, od małych do olbrzymich, naprawia rozruszniki i alternatory, wykonuje glowice.

Ale nie tylko to. Od kilku lat produkuje się tu kombajny do zbioru chmielu — dotychczas 400 sztuk, zszywarki do liści tytoniu. Obie prace wykonywano dotychczas ręcznie, maszyny robią to kilka razy szybciej i kilka razy taniej. Np. maszyna do zszywania liści kosztuje 70 tys. złotych. Jeden z plantatorów z okolic Zamościa, mający 1,5 ha uprawy tytoniu, przyznaje, że zszywarka zamortyzowała mu się w ciągu jednego roku — po prostu tyle zaoszczędził na robociznie. Kombajn do chmielu jest trzy razy droższy,

kupują więc PGR-y i SKR-y, czasem większe zespoły chłopskie.

Przed jedną z hal spotykam nowość: klatki do chowu świń. Są to jednopiętrowe klatki metalowe na dwadzieścia sztuk. Specjalne chlewnie dla nich będą budowane wkrótce w spółdzielni produkcyjnej w Chmielniku oraz w rejonie Tomaszowa, województwo rzeszowskie zamówiło już 5 tys. takich klatek. Obok stoi specjalnie skarosowany Żuk z napisem „Techniczna obsługa pasiek” — prototyp na zamówienie Technikum Pszczelarskiego w Pszczelę Woli. Nieco dalej Żuki i Stary dla wiejskich straży pożarnych, łącznie z dwukółowymi przycepkami na 250 m węża strażackiego. Szef biura konstrukcyjnego Feliks Dmitruk pokazuje mi swoje ostatnie dzieła: przystawkę-opryskiwacz do kombajnu chmielowego, pomost do mechanicznego zawieszania drutów w chmielniku oraz sześciometrową przyczepę do zbioru szyszek chmielowych z kombajnu — a ponieważ taka przyczepa potrzebna jest tylko przez miesiąc, na pozostałe jedenaście miesięcy można ją skrócić o dwa metry, dla równowagi przesuwając zarazem koła — może służyć do każdej innej pracy w rolnictwie. I chyba nie tylko w rolnictwie.

Jeszcze w planach, ale już po zatwierdzeniu założeń technicznych, są suszarnie tytoniu. Duże, trzykomorowe, przeznaczone dla zespołów chłopskich lub do wynajmowania przez SKR-y. Dokumentacje na te wszystkie maszyny i urządzenia wykonano we własnym biurze konstrukcyjnym, prototypy przeszły wszelkie badania techniczne i produkcyjne. Tu przy okazji dowiaduję się, że dyrektor Ostasz — o czym sam jakoś zapominał powiedzieć — jest autorem sześciu patentów, a dwa wnioski oczekują na zatwierdzenie. Niektóre urządzenia lub ich fragmenty zostały wykonane na wzór maszyn i urządzeń, konstruowanych przez samych chłopów lub innych hobbistów, związanych z rolnictwem, np. urządzenia zbierające kombajnu chmielowego według

patentu dr. inż. Tadeusza Zaorskiego z Lublina.

Przypomnijmy: POM w Skierbieszowie miał zaledwie jednego inżyniera i kilku techników. Dziś POM w Zamościu ma 35 inżynierów, 200 techników, 180 majstrów i mistrzów. Większość z nich to byli uczniowie szkoły zawodowej. Jak rzadko gdzie, prawie wszyscy wracają po służbie wojskowej, już bardziej dojrzałi i dodatkowo wyszkoleni w różnych specjalnościach. Wie o tym POM, dlatego zawsze uroczysto żegna się tu powołanych i wita wracających, z radością gości podczas urlopów. Młodzi wiedzą, że właściwie wracają do siebie, że tu mają ciekawą pracę, dobre zarobki, serdeczną, przyjacielską atmosferę.

Pytam dyrektora, dlaczego tak się zawiązało na robotę, dlaczego wciąż wymyśla coś nowego. Najpierw milczy zakłopotany, a potem powiada:

— Po prostu taka jest potrzeba. Wiesz czeka na wszelkiego rodzaju mechanizację, ludzi tam coraz mniej musi być więc coraz więcej maszyn. Mamy niemało kłopotów, np. w produkcji zastępujemy przecież przemysł maszynowy, a on jakoś nam nie pomaga, wiele części musimy zrobić sami, nie mając w dodatku oficjalnych przydziałów na niektóre materiały. Ale jak się człowiek uprze, to zawsze coś wydobędzie. Myślę, że gdybyśmy wszyscy zabrali się porządnie do pracy, byłoby nam wszystkim dużo lepiej. Ale co robić, aby wszyscy tak chcieli?

Na zakończenie warto dodać, że dyr. Ostasz sprawuje jeszcze wiele funkcji społecznych. Jest członkiem KW PZPR w Zamościu, członkiem Prezydium WRN, jednym z pełnomocników Egzekutywy KW dla spraw komitetów gminnych PZPR, członkiem komisji komunikacyjnej rady narodowej, ostatnio został wybrany prezesem Stowarzyszenia Orkiestry Włociańskiej im. Karola Namysłowskiego. Właśnie w dniu moich odwiedzin rozmawiał z kandydatem na dyrygenta orkiestry, który po długim pobycie w Poznaniu chce wrócić w rodzinne strony.

zaangażowanie starszych pracowników i dobre stosunki międzyludzkie, przyjmują się bez większych trudności, ich adaptacja jest prawidłowa i trwała. Gorzej — a to zdarza się niestety wcale nie rzadko — gdy starsi nie dzielą się doświadczeniami, gdy mistrzowie strzegą tajemnic zawodowych jak za starych czasów. Powstają wtedy często antagonizujące stosunki między praktykami bez wykształcenia a adeptami. Wśród młodzieży narasta rozgorczenie, poczucie zawodu, gdyż widzi ona zbyt wielką różnicę między idealami, jakie wpaja jej szkoła, a tym, co ją spotkało.

Często zrażają się już jako uczniowie, w czasie praktyk. Z wypowiedzi uczennic ostatnich klas Technikum i Zasadniczej Szkoły Gastronomicznej z tego Zespołu wynika, że w restauracjach i kawiarniach, w których przyszło im odbywać praktyczne zajęcia, kierownictwa i starsi koledzy zajmują się nimi niedbale. Trzeba samemu wykazać dużo inwencji, a nawet przebiegłości, aby dowiedzieć się czegoś z techników produkcji, organizacji i zarządzania, prowadzenia dokumentacji itp.

Placówka, którą kieruje dyr. Podgórska, działa w dość trudnych warunkach lokalowych. Nielatwo wprowadzić w niej dalsze nowe technologie w takim stopniu, jak to jest potrzebne. Reorganizacja szkolnictwa w ogóle oraz zamierzenia Kuratorium na najbliższe dwa-trzy lata mają jednak dużo zmienić na lepsze. Wprowadzi się w nauczaniu szerzej elementy z organizacji i zarządzania placówkami gastronomicznymi, bo ostatnie sympozjum wykazało tego potrzebę. Placówki kierowane przez absolwentów winny budzić pracowniczą dumę, trzeba więc dać im taką wiedzę i umiejętności, aby ta praca spotkała się z powszechniejszym niż to jest obecnie uznaniem konsumentów. Podobnymi poglądami dzieli się ze mną nauczyciel tego Zespołu, główny organizator sympozjum, mgr Marian Kawalko.

Skoro jest w sumie tak wiele do naprawienia, co sądzi o tej sytuacji dyrektor Zakładu Gastronomicznego Lubelskiej Spółdzielni Spożywców, mgr Jerzy Kućmiński? Sprawuje tę funkcję dopiero trzy kwartały. Nie zaprzecza, że przypadki tu opisywane mogą się zdarzać. Może być i tak, że starzy pracownicy czują się zagrożeni sporą ilością absolwentów, których co roku szkoły gastronomiczne Lubelszczyzny

obecnie przygotowują. Dyrekcja Zakładu Gastronomicznego LSS nadzieję podniesienia poziomu żywienia w mieście widzi w nich właśnie, zależy jej na tym, aby młodzi pracownicy nie zrażali się, nabierali doświadczenia, podnosili swoje kwalifikacje, zajmowali odpowiedzialne stanowiska. Kadra jest bowiem w podeszłym wieku, chętnych do objęcia tych odpowiedzialnych, także materialnie, posad jest niewielu.

Dyrektor Kućmiński uważa, że jakość posiłków w wielu zakładach gastronomicznych jest już dobra, nieraz nawet doskonała, natomiast obsługa prezentuje sobą poziom dość niski. Pokutuje jeszcze błędny pogląd, że pracownik po Technikum Gastronomicznym musi otrzymać pracę za biurkiem, tymczasem właśnie on powinien znaleźć się jak najbliżej konsumenta, pracować dla niego zarówno w przygotowaniu dań, jak i w bezpośredniej obsłudze. Tylko takie rozwiązanie może sytuację poprawić i w końcu zapewnić wysoki poziom gastronomii. Znikną nerwowe napięcia w kontaktach z konsumentami, jeżeli ze strony pracowników obowiązki będą wypełniane w taki sposób, jak wychowywała szkoła, jak uczą najlepsi pracownicy starszego pokolenia.

Nic dodać, nic ująć. Również i w takim widzeniu problemu przez pedagogów oraz władze zakładów zbiorowego żywienia upatruję mój umiarkowany optymizm. Największy płynię jednak z postawy samej młodzieży. Absolwenci i uczniowie po prostu na dotychczasowy stan rzeczy się nie zgadzają. Wynikało to wyraźnie z obrad lubelskiego ogólnopolskiego sympozjum międzyuczelnianego. Swoją pracą i postawą chcą odmienić do gruntu rzeczywistość gastronomiczną, rozbić istniejące układy wewnętrzne w poszczególnych placówkach. Tak, ale zapewne ci z poprzednich roczników też pragnęli zmian, a teraz, gdy mają już spory staż pracy, stają się również konserwatywni. Czy nowe grupy absolwentów także miałyby odstąpić od swojego naczelnego ideału w przyszłym zajęciu: wszystko dla konsumenta, dla jego zadowolenia? Miejsmy nadzieję, że stwarzana i teraz atmosfera i warunki przyszłej pracy pozwolą pozostać przy obecnej postawie, a nadto pociągną za sobą tych, którzy spawali pod wpływem zastanych okoliczności.

## W Lubelskiej Operetce „ZAWISZA CZARNY”



Państwowa Operetka w Lublinie. „Zawisza Czarny” — musical Bolesława Ociełki i Krystyny Słaskiej. Bolesław Hamaluk (grał Robert), Andrzej Chmielarczyk (blasen Klaus — brat Wilfryd) i Tytus Wiłki (komtur z Malborka). Recenzja ze spektaklu ukaże się w następnym numerze

Fot. J. Wielopolski



# WSPÓLCZESNA POEZJA CZESKA

w tłumaczeniu Jerzego Pleśniarowicza

Vlasta Dvořáková

## PIASEK

Gdy ziarnko piasku  
oddzielić osobno,  
wiemy:  
jego prababką była skala.

Gdy ziarnka piasku  
zasypią równinę,  
są nazywane  
tylko według barwy:  
srebrzystość,  
biel,  
żółć  
albo szarość.

Daltoniści  
mówią zwięźle:  
pustynia.

Ziarnko piasku  
potem nie ma rodowodu,  
jakby się narodziło  
z ziewania.

Protestuje  
z siłą Heraklesa:  
podnosi się,  
obraca,  
budzi wiatr,  
rzuca złoty blask  
i pada,  
by tkwić  
jak koniec igły  
w oku,  
w ciszy,  
w ranie.

## OGIEŃ

Po sercu ściekają mi iskry,  
kiedy pomyślę  
o pierwszym ogniu.

O tym,  
który nie powstał z błyskawicy,  
ale wypełził z jaskini zimnej jak głowa salamandry  
— widzicie krzesanie igraszki czy przypadku,  
stwierdzacie, jak dziko tryska żółta barwa,  
czujecie woń niepozornych iskier?

I zaraz  
„OOO!  
A A!”

Wszystkie wiersze  
od Homera po wyrostka, który wstrzymuje oddech  
nad swoim blekitnie nastroszonym poematem,  
są tylko okruciami  
tego krzyku.

Klaniam się ogniowi.

VLASTA DVORACKOVA, ur. 1921, poetka i tłumaczka z języka polskiego. Ma w dorobku sześć tomów wierszy oraz cenione tłumaczenia wyborów wierszy Tadeusza Różewicza i Wisławy Szymborskiej.

Miroslav Florian

## DYTYRAMB

Prago skropiona złotym deszczem  
błądzą po tobie jak trzmiel  
ociężały od pyłku i niezdolny do lotu  
nie mogę się oderwać od twoich szczodrzych pocałunków  
od kunsztownego podstrzyżenia twych ogrodów

Cała jesteś zaporą  
w której wiosna nurt przyspiesza  
i rozrzuca tęczowe iskry  
nad ostupiałymi autami  
spod ich masek wyrzywały się konie  
potrzęsają grzywami i zawierają znajomości  
wdzięcznie zawstyżone

O Prago z zielonym rumieńcem  
jak tu pisać wiersze  
gdy na moim ołówku rozwijają się pączki

\* \* \*

Przebrzmiały majowe grzmoty i po lśniących trotuarach  
przebiegły bosa dziewczyny —  
teraz, mój wierszu,  
rzucam cię pod ich stopy i zakochuję się dziesięć razy na sekundę,  
oddaję cię golębiom — niech twój rytm roznoszą w eterze  
alfabetem Morse'a,

już dla ciebie nie znajdę wolnej chwili:  
będę drużbą na weselu —  
oto zaręczyny słońca z wiosennym deszczem,  
z szerokobiodrymi lawkami w parku,  
z Pragą, co przesyła sygnały

wszystkimi swoimi chorągiewkami.

MIROSLAV FLORIAN, ur. 1931, wybitny współczesny poeta czeski, autor kilkunastu tomów wierszy, redaktor czasopism i wydawnictw książkowych, obecnie jest kierownikiem redakcji poezji wydawnictwa Československý Spisovatel w Pradze. Laureat licznych nagród literackich. Niedawno w roku 1973 otrzymał za twórczość lat ostatnich oraz za zbiór wierszy „Inicjaly” Nagrodę Państwową im. Klementa Gottwalda.

Andrzej Petruszewicz

## ZNIKOMOŚĆ

Pamięci Stanisława Grochowiaka

Folechonić odleśmianie  
kochanowiec pojasieniec  
może trochę otuwić  
w każdym razie zawojczyć  
dobrze zbursać wystowaczyć  
boyć się — nie bojąc... staffać  
bronić się — a broniąc  
choćby nawet jak Broniewski  
wszechnorwidzieć i galeczyńnic  
nie wracając — uwieworzynić  
pozór hlaskać gdzieś zdychając  
po paryskich norach szczurzych  
w argentykach i newyorkach

w czas uciezki i podróży  
z nożem w brzuchu w locie z okna  
ziemio każda i niewierna  
na małorkach-kontynentach  
zimną skwarna latem mroźka  
dolo marna pustko gorzka

z wietrznym...  
jak stygmat wiecznym uporem  
modlących nadzieję zwodniczy ofiarzu...  
piórem jak plugiem twe bruzdy obnaże  
w nich ból mój posieje... i piolun z nich zbiorę  
ziemio poetów płomiennych jak taniec  
ziemio ja-k-strunna  
ziemio bez granic  
wódcz rej nas na pokuszenie  
przyboś królestwo twoje  
sterną się imię twoje

moja poezjo  
moja biedna poezjo  
daleko od dowcipów dębowych słomkowych  
grochowino siebie niepewna jak drzenie  
tym herbe-m-rt borowski skowyt  
ale i zachwył i... porażenie...  
gdzieś między mieczem a magnezją

Tadeusz Machnowski

## MIŁOŚĆ

Nie dźwigałeś nie zarzucaj  
to jest ciężar drogi ciężar  
patrz jak lekko niosą płuca  
monogramy lśnią na wieżach

zielenieją wokół zbocza  
nawet zachód się czerwieni  
trzepot płasich skrzydeł w oczach  
nieustanny świtu zenit

to jest ciężar duży ciężar  
nie dźwigałeś nie przeszkadzał  
już na ustach zgasł syk węża  
w pocałunkach odszedł zdrójce

## DEBIUTY

Zbigniew Mazurek

## CHCĘ WYŻEJ

Wyżej zdrewniałych rozpaczy rosochatych  
i ich kawalków żywych i krzyżących  
w gniazdach

Wyżej jeszcze ich dusz opuszczonych  
marzeniami śmiejących tło czasem niebieskie  
składających w drwinie bo bez zmęczenia  
dowód życia czyli zmian  
I jeszcze wyżej  
niż lepkie przecieś  
a w oku lśniące przyczyną lśnienia  
pieczęcie jubilerskie zdobiące tło czasem czarno  
kłujące ostro przy próbie dokładnej a niepotrzebnej  
identyfikacji

Chcę wyżej

Anna Młotkowska

## XV

## XI

Jestem papierkiem lakmusowym  
zanurz mnie w radości  
a będziesz miał  
czyste słońce na ramieniu  
zanurz mnie w szaleństwie  
a i ty  
poznasz szatana

ma potęgę słowo  
— lotus w ludzkiej postaci  
nie boi się śmiechu  
ani krzyża  
ze mnie  
czyni karykaturę  
gdy chcę mówić  
z wielką słodyczą  
słowo tylko kiedy mdleje  
na chwilę  
staże się myślą  
lecz  
ocucione jest tak silne  
że wspiera świat



Porębski szuka odpowiedniej formy dla podejmowanego tematu: reportaż, artykuł publicystyczny, wywiad, rozmowa, kiedy trzeba — po prostu krótka informacja. No i pomyśl, pomyśl, od którego w pracy dziennikarza tak wiele zależy: co z tego, że myśl będzie słuszna, a obserwacja bystra, skoro temat się rozmaże na papierze... Biorąc na warsztat artykuł „Gdy obraduje Plenum KC PZPR”, Józef Porębski nadaje mu formę reportażu. Jedzie w daleki teren, do województwa białkopodlaskiego, odwiedza wsie i miasteczka, rozmawia z ludźmi, wstępuje do klubów i świetlic, gdzie przed telewizorami siedzą tutejsi mieszkańcy obserwujący obrady Plenum i później pisze o swoich wrażeniach, relacjonuje rozmowy, przedstawia reakcje ludności.

Kiedy indziej uczestniczy w zebraniu, podczas którego stary kolejarz bierze odpowiedzialność — jako wprowadzający — za swoich synów wstępujących właśnie do partii: „Polecam swoich synów” to rzecz o życiu jednej rodziny, o atmosferze zaangażowania, o umiejętnościach wychowawczych. W publikacji „Na scenie i poza sceną” Porębski, podejmując temat pracy organizacji partyjnej w Teatrze im. Osterwy w Lublinie, posługuje się formą wywiadu, który wkrótce przekształca się w zaangażowaną dyskusję pomiędzy dziennikarzem a sekretarzem organizacji partyjnej. W cyklu dyskusji „Jakosć partyjnego działania”, przeprowadzanych z udziałem sekretarzy komitetów wojewódzkich PZPR, a następnie sekretarzy komitetów gminnych, publicysta „Sztandaru Ludu”, nawiązując do uchwały VII Zjazdu Partii, gdzie bardzo mocno została zaakcentowana potrzeba twórczej dyskusji i konstruktywnej krytyki, jako najskuteczniejszego środka ochrony przed groźnymi deformacjami w naszym życiu partyjnym i społecznym, pyta wprost: A więc, jaka jest atmosfera naszych zebrań, czy są one szczerze, czy jest klimat do krytyki?

To tylko kilka z ubiegłorocznych publikacji w „Sztandarze Ludu”, za które Józef Porębski otrzymał ostatnio I nagrodę „Zycia Partii” przyznaną za publicystykę partyjną w 1976 r. na łamach dzienników regionalnych PZPR. Wręczył mu ją podczas specjalnej uroczystości w KC PZPR sekretarz Komitetu Centralnego, Zdzisław Zandrowski. Sukces tym pełniejszy, że publikacje z całego kraju oceniane są przez najbardziej kompetentne jury, w którego skład wchodzi głównie działacze partyjni z władz centralnych. Tutaj trzeba wspomnieć, że w ostatnich czasach nad Porębskim jak gdyby rozbiła się bania z nagrodami: w ubiegłym roku otrzymał II nagrodę „Zycia Partii” (pierwszej nie przyznano) a w grudniu 1976 r. w konkursie „Trybuna Ludu”, „Zycia Partii” i „Książki i Wiedzy” na reportaż i publicystykę prasową o problemach pracy partyjnej — zdobył III nagrodę. W ciągu niespełna dwóch lat — trzy najwyższej rangi wyróżnienia, jakie dziennikarz zajmujący się problematyką partyjną może otrzymać!

Fo sukces dziennikarski sięgnął Józef Porębski już wiele lat temu. Ci, którzy śledzą historię i rozwój polskiego reportażu, pamiętają wydaną nakładem „Czytelnika” w 1963 r. książkę — „Jeszcze nie historia”, będącą pokłosiem konkursu „Polityki” na reportaż ukazujący organizatorską i kierowniczą rolę partii, ogłoszonym w związku ze zbliżającym się XX-leciem PRL. Reportaż Józefa Porębskiego pt. „Ostatnia próba” prezentujący sylwetkę sekretarza Komitetu Powiatowego PZPR w Puławach, Zygmunta Zarychty, ukazanego w bardzo nieszablony sposób, w okresie gdy Puławy zaczęły się przekształcać w wielki ośrodek przemysłowy, postawił autora wśród najłżejszych dziennikarskich piór, takich jak Stefan Koziński, Hanna Krall, Anna Stronka czy Andrzej K. Wróblewski.

„Skąd czerpiesz tematy do swoich artykułów?” — pytam Józka. „Po prostu ze znajomości życia i terenu. I z ciągłego, aktywnego uczestniczenia w życiu partyjnym...”

Jakże by inaczej! A swoją drogą jak bardzo charakterystyczna jest droga dziennikarskiej kariery Józka Porębskiego, jak zbiedzna z drogami jego pokolenia, które na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych określało swoje miejsce w społeczeństwie i przygotowywało się do aktywnego udziału w życiu nowej Polski...

W 1950 r. „Sztandar Ludu” wydał specjalny numer z okazji pięciolecia istnienia pisma. Jedną z kolumn otwierał artykuł „300 korespondentów

„Sztandaru Ludu” wiąże gazetę z masami pracującymi”. Właśnie zainicjował Pierwszy Krajowy Zjazd Korespondentów Robotniczo-Chłopskich. Wśród dwunastu sylwetek najbardziej aktywnych współpracowników „Sztandaru Ludu” rzucały się w oczy fotografie i krótkie charakterystyki sześciu młodych chłopców w mundurkach szkolnych lub SP-owskich bluzach: Wiesława Danielaka z Białej Podlaskiej, Ryszarda Smożewskiego z Biłgoraja, Zbigniewa Wyczęsana z Zamościa, Kazimierza Spólnickiego z Chelma, Karola Olendra z Tomaszowa Lubelskiego i Józefa Porębskiego z Zamościa. Większość z nich kończyła właśnie licea ogólnokształcące, ale zajmowała się również pracą społeczną i pisaniami notatek z własnego terenu do lubelskiej gazety partyjnej, gdzie działali korespondentów terenowych



Fot. Barłomiej Włoczek

patronowała niestrudzona Olga Gancarzowa.

Józef Porębski uważa, że jego światopogląd zaczął się krystalizować już wtedy, kiedy jako kilkunastoletni chłopiec, uciekinier wojenny, obserwował nierówność społeczną na wsi. Po wywołaniu ogromnym wstrząsem była dla niego śmierć stryja Władysława, rozstrzelanego we własnym łóżku przez członków reakcyjnej bandy. Przeżywał też pierwsze pogrzeby polskich żołnierzy na zamojskim cmentarzu, żołnierzy, którzy zginęli w walkach o umocnienie władzy ludowej. Wychowywał się w rodzinie o tradycjach postępowych w robotniczej dzielnicy Zamościa. Uczęszczając do liceum ogólnokształcącego w Zamościu, zaczął — jako pilny czytelnik „Sztandaru Ludu” — pisywać do gazety pierwsze notatki prasowe, a sprzyjała temu ówczesna słuszna tendencja do organizowania przez dzienniki wojewódzkie szerokiego zaplecza korespondentckiego. Wśród młodzieży zamojskiej sporo było takich korespondentów, na przykład Władysława Cwik, dzisiaj profesor UMCS — pisywał do „Zycia Lubelskiego”. W 11 Brygadzie „Służby Polsce”, do której Porębski zaciągnął się ochotniczo, działał także Ryszard Smożewski z Biłgoraja.

Porębski współpracował ze „Sztandarem Ludu” od końca 1948 r., ale dopiero po kilku miesiącach pokonał naprawdę bakcylię dziennikarstwa: stało się to wówczas, kiedy z lubelskiej re-

dakcji przyjechał szef działu łączności z czytelnikami, Alojzy Sroga, i zabrał młodego adepta pióra w teren. Sroga miał starego Willysa z demobli, a w nim maszynę do pisania, na której zwykł był na miejscu, w odległych wioskach i osadach, pisywać „na żywo” artykuły. I to szalenie zaimponowało Józkowi. Zaczął teraz na swoim rowerze, starej „balonówce”, wypuszczać się w towarzystwie szkolnego kolegi, Henryka Łaska, także korespondenta-rowerzysty, na „dalekie” tematy — do zamojskich wiosek, a nawet do Tomaszowa Lubelskiego czy Krasnegostawu. Praca korespondenta gazety partyjnej i zetempowa nie była w tych czasach ani łatwa, ani bezpieczna. Jeszcze działały bandy, być korespondentem to w praktyce znaczyło być nawet więcej niż szeregowym członkiem partii, za to groziła śmierć z rąk członków reakcyjnego

dzisiaj pracuje w Interpressie. Zbigniew Wyczęsany jest obecnie kierownikiem działu ekonomicznego „Trybuna Ludu”, a Karol Olender... Ach, Karol Olender! Redaktor pegeerowskiego „Głosu Machnowa”, fotoreporter i grafik „Kurier Lubelski” a następnie wieloletni, znany reporter Dziennika Telewizyjnego w Opolu a teraz w Białymostku!

Ryszard Smożewski, który w przyszłości miał założyć znany Teatrzyk Dziennikarzy i Aktorów w Kielcach, a następnie zasiąść na dyrektorskim stołcu tarnowskiego teatru, już wtedy, na początku lat pięćdziesiątych, przejawiał ciągłość teatralną: to on spośród członków redakcyjnego koła ZMP zorganizował zespół dramatyczny, który w reżyserii Wojciecha Siemiona wystawił „Młoda Gwardia” Fiediejewa i wtedy też Józef Porębski po raz pierwszy i ostatni był aktorem.

Jerzy Dostatni zamykał się w gabinecie z adeptami pióra i — wykazawszy najpierw ich marność warsztatową — wygłaszał następnie wraz z delikwentem zdanie po zdaniu, cały artykuł. Była to dla wielu pierwsza, prawdziwa szkoła dziennikarskich umiejętności. Reszty musieli uczyć się sami, biorąc czynny udział w życiu, w sprawach, które mieli opisywać. Byli zdani na samych siebie, bo w redakcji był jeden rachityczny Willyś, a tylko czasami Warszawa podsyłała tzw. „wóz propagandowy” wyposażony w adapter, mikrofon i potężny głośnik na dachu. Ale tych wozów i tak nie dawano początkującym dziennikarzom. Młody reporter dostawał „trasę”, z której miał napisać szereg artykułów, powinien był również uczestniczyć w zebraniach partyjnych, naradach, przy zakładaniu spółdzielni produkcyjnych. Przeważnie przebycie takiej trasy zajmowało mu dwa tygodnie w miesiącu, a dojazd, zdobycie środków lokomocji, noclegu czy żywności było już jego sprawą. Na bocznych drogach nie liczone na komunikację autobusową, bo takowa po prostu nie istniała, więc tacy dziennikarze jak Józef Porębski przemierzali dziesiątki kilometrów piechotą. Księgowość redakcyjna za każdy przemaszerowany kilometr wypłacała summiennie... 30 groszy.

W Ulanie pod Lukowem podczas pobytu Porębskiego we wsi reakcyjna banda zamordowała miejscowego wójta, w Sosnowicy młody dziennikarz siedział całą noc z karabinem w garści w oknie posterunku milicyjnego, bo spodziewano się napadu bandy, którą właśnie tropiły oddziały KBW. W jednej z tomaszowskich wsi podczas zebrań partyjnych, w którym uczestniczył, członkowie podziemia zaczęli podpalać niedalekie zabudowania... W Podzamczu koło Bychawy, łutą zimą, położono Porębskiego do łóżka w którym osiemdziesięcioletni dziadek kończył prosić nie swojego żywota... Takie to były „delegacyjne podróże” dziennikarskie na początku lat pięćdziesiątych.

Po wyjeździe z Lublina Smożewskiego funkcję przewodniczącego ZMP w „Sztandarze Ludu” objął Józef Porębski. Mając 26 lat został I sekretarzem organizacji partyjnej i funkcję tę sprawował następnie przez ponad osiem lat. Od 1955 r. Porębski pełnił szereg funkcji partyjnych — był przez kilka kadencji członkiem Komitetu Miejskiego PZPR, członkiem kilku komisji Komitetu Miejskiego i Komitetu Wojewódzkiego, a od 1975 r. jest członkiem Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej.

Nie wyobrażam sobie — mówi — że bym mógł być dobrym dziennikarzem bez autentycznego zaangażowania w sprawy partii, bez rozumienia partii. Żeby sensownie pisać o partii, trzeba partię mieć w sobie, trzeba ją czuć i żyć nią. Trzeba znać możliwości i warunki pracy. A przede wszystkim, będąc publicystą zajmującym się problematyką partyjną, trzeba samemu być działaczem. Może dlatego tak często i tak chętnie zajmuję się upowszechnianiem dobrych doświadczeń działalności partyjnej, dobrej roboty, bo sam, jako działacz, wiem ile w to trzeba wkładać wysiłku, poświęcenia, dobrej woli... A co do wspomnień sprzed lat, o które pytasz, to powiem jeszcze jedno: zadania, które nam dawano, nieraz preferowały nasze możliwości, siły i kwalifikacje. Ale też każda nasza publikacja była wynikiem zaangażowania, zarliwości i patriotyzmu. Tego patriotyzmu, o którym dzisiaj czasem jakbyśmy się wstydzili pisać i mówić pełnym głosem.

Mirosław Derecki



**D**O niedawna w Lublinie na Tatarach zachęcano mieszkańców osiedla do zebrania wieszając kartki informujące o tym, że będzie mowa o ciepłej wodzie. Teraz można obejść się bez podstępów, ludzie przychodzą i tak. Moda na samorządy zaczyna się przyjmować, ale ciągle zależy jakie są żurnale i w jakich dzielnicach. Na przykład na Tatarach wszyscy patrzą na Mieczysława Raczkiewicza. Od dwudziestu lat szaleje on ciągnąc za sobą kogo się da, biorąc się za rzeczy możliwe i bez szans, aż wreszcie przekonuje wszystkich, co może samorząd.

Samorząd może dużo. Czasem nawet może więcej niż wyobrażają sobie osiedlowi pesymiści. Na Tatarach udało się skoncentrować siły i środki przeznaczone na modernizację dróg, sami mieszkańcy dopilnowali postępu prac. Po dziewięciu latach budowy wprawdzie, ale wbrew propozycji zasypiania — otworzono w ubiegłym roku osiedlowy basen. Na miejscu asfaliarni, która latami zatrzymywała powietrze i życie, zrobiono strzeżony parking. Będzie woda na Zadębitu, mówilo się o tym od kampanii wyborczej do Sejmu, podobnie jak o potrzebie doprowadzenia gazu do mieszkań. Bo jeśli nacisk samorządu zaciąży komu trzeba, wtedy właśnie można załatwić wszystkie sprawy uznawane wcześniej za niemożliwe.

Ale nie wszystkie samorządy umieją pokazać swoją obecność. Prawde powiedziawszy ich indolencja przynosi więcej szkody, niż gdyby nie było ich w ogóle. Działacze bez likry potrafią skutecznie zarazić otoczenie zniechęceniem i opieszałością, cały mizerny samorząd skupia wówczas energię na obradowaniu jak wzięcie z impasu. Najczęściej tak właśnie bywa, gdy zabraknie wiodącej indywidualności człowieka, dla którego parę spraw jest bardziej oczywistych niż dla innych.

Ostatecznie dyskusje o randze samorządności wyraźnie wskazują, że w niektórych osiedlach brakuje rzut-

## WSZYSTKIE NASZE MIEJSKIE SPRAWY

Anna Bocian

Kiego aktywu rozbudzającego społeczne instynkty. Pokolenie wścibskich emerytów i praktycznych członków Łągi Kobiet wydaje się być cokolwiek zmęczone hołubieniem kapryśnego narybku z organizacji młodzieżowych, który zresztą nie wszędzie ma ochotę się objawić. Zwłaszcza w świeżo nobilitowanych miastach wojewódzkich trudno poruszyć monotonne życie osiedli nawet najbardziej słuszną inicjatywą. W Zamościu np. w Komitecie obwodowym, obejmującym około sześć tysięcy mieszkańców Starego Miasta i Podgrobła, tylko jedenastu ludzi, w większości emerytów, usiłuje uszczęśliwić minimalistów podpierających podcięcie. A wiadomo, że emeryt ma prawo wsłuchiwać się już w swoje prywatne bóle i raczej należałoby mu się leżak na skwerku niż galop przez osiedle w sprawie dyskoteki.

Nie lekceważąc sił witalnych i mądrości ludzi starych, którym chce się jeszcze zrobić coś dla kogoś, należałoby zastanowić się, czy nie nastąpiło przypadkiem odwrócenie wymagań. Młodzi ludzie rzadko mają czas dla samorządu, bo wydaje im się, że są stworzeni do przyjemniejszego spędzania czasu. Czterdziestolatków także zbyt wielu w samorządności osiedlowej się nie uświadcza, gdyż oni delektują się akurat pełnią życia. Zostają więc renciści i emeryci, którzy na tyle poznali życie, że samotność i sobkostwo zdecydowanie wykluczili z repertuaru swoich przeżyć. Ale co zostanie po nich?

Jedyna pociecha — chwilowo dość



Lublin, Stare Miasto

Fot. A. Polakowski

teoretyczna — jest w osiedlowych organizacjach młodzieżowych. W województwie lubelskim mamy dotąd 25 terenowych kół ZSMP, z tego siedem działa w LSM. Znając jednak młodzieżowe zrywy i słomiany za-

pał, skłonność do papierowych zapewnień oraz do całkiem realnych nieobecności — wstępny optymizm dobrze byłoby obwarować refleksją: od każdego można się czegoś nauczyć, od osiedlowych emerytów także.

Regułą jest, że kto raz odkrył w sobie działacza osiedlowego — nie może skończyć z wtrącaniem się i popychaniem społecznych inicjatyw. Nawet jeśli ma już dość tych sportów, nie może wytrzymać, żeby nie załatwić czegoś tak, jak jego zdaniem byłoby najlepiej. W efekcie otrzymujemy model działacza niezastąpionego, który jest chory jeśli nie usprawnia, nie pomaga, nie porządkuje. Efekty zaś widać pod różnymi postaciami. Np. w Świdniku i Poniatołowej samorządy mieszkańców z pożytkiem wchodzą w symbiozę z samorządami robotniczymi, LSM zna na jest z zajmowania się młodzieżą i seniorami, Wieniawa ma własny sposób na opiekowanie się dziećmi. Zresztą każdy aktualny dla osiedla problem dobry samorząd prędko zauważa, jeśli jest naprawdę dobry, czyli na tyle młody duchem, żeby nie było dla niego spraw niemożliwych.

Niezależnie od lokalnych potrzeb samorządy osiedlowe mają w programie penetrowanie najważniejszych dziedzin osiedlowego życia. Kontrolują więc godziny otwarcia, zaopatrzenie i czystość sklepów, zaęgnują konflikty między mieszkańcami w społecznych komisjach pojednawczych, opiekują się schorowanymi i

## Ja - klient pytam dyrektora

Dokończenie ze str. 1

niny. Wszystko wyłącznie dla naszego domu towarowego. Z tymi propozycjami wychodzimy następnie do przemysłu, kładąc nacisk na krótkie, niepowtarzalne serie.

— Widzę, że jako oddział przedsiębiorstwa centralnego posiadacie sporą samodzielność w organizacji zaopatrzenia na lubelski rynek. To dobrze, ale przecież idea utworzenia Domów Towarowych Centrum było powołanie silnego partnera handlowego dla wielkich zakładów przemysłowych, które z pojędynczym domem towarowym nie bardzo chciały rozmawiać. Wygląda na to, że w tej nowej sytuacji zaopatrzenie placówek Centrum powinno być dzielone centralnie, a raczej załatwiane centralnie, co upraszcza całą sprawę.

— Jeśli idzie o artykuły podstawowe, masowe, tak jest w istocie, i to duże ułatwienie dla nas. Ponadto jednak oddziały mają obowiązek tworzenia tak zwanych rynków regionalnych w oparciu o mniejsze zakłady produkcyjne, działające w terenie. Tutaj już sami zawieramy umowy z producentem, stosując zresztą nierzadko wymianę towarów między poszczególnymi oddziałami. Coraz bardziej rozszerzamy zakupy u producenta, czyli bez pośrednictwa hurtu. Pozwala nam to zaliczać również marżę hurtową, co wpływa dodatnio na ekonomiczne wyniki przedsiębiorstwa, brane pod uwagę we współzawodnictwie krajowym.

— Bywa czasem tak, iż handlowcy mają dobre wyniki ekonomiczne, otrzymują nagrody, tylko klient chadza niezadowolony, gdyż brakuje rozmaitych potrzebnych drobiazgów. Jesteście dużą placówką handlową, czy doceniacie sprzedaż codziennych drobiazgów?

— Największy interes robi się na drobnym handlu. Klient najchętniej dokonuje takich zakupów kompleksowo, jeśli różne drobne twary zgromadzone są w jednym sklepie. I jeśli można w nich poprzebierać. Jeszcze w tym roku tak właśnie chcemy zorganizować cały parter naszego domu towarowego, wyposażenie w meble już mamy zamówione. Główne przejście pójdzie środkiem, a po bokach zatokowy system stoisk z samoobsługą.

— Jako klient od pół roku pytam o szelki męskie, a oferują mi u was młodzieżowe. Żeby zaś zostać przy towarach sprzedawanych na parterze, wielokrotnie chciałem kupić zwyczajny rozdzielacz elektryczny, bez skutku. W końcu ekspedientka mi powiedziała, że ostatnio rozdzielacze były w kwietniu zeszłego roku!

Dyrektor wzywa do gabnetu trzy osoby: kierowniczkę stoiska elektrotechnicznego oraz pania i pana z biura, zajmujących się tą branżą. Rozmowa:

— Redaktor twierdzi, że od roku nie ma u nas rozdzielaczy elektrycznych.

— Na początku tego roku mieliśmy 500 sztuk.

— Zamówiliśmy dwa tysiące, ale hurtownia przyjęła tylko pięćset i to

w późniejszym terminie. Napisała: „Brak możliwości dostaw”.

— Co to znaczy?

— Może samochodu nie mają?

— Może przemysł nie produkuje?

— Lub za mało produkuje?

— Jeśli przemysł przestał produkować rozdzielacze, to pewno wytwarza coś w zamian, na przykład trójdzielne kontakty?

— Może.

— Ale pani się o to w hurtowni nie pytała?

— Nie.

— Zresztą hurtownia też się niejasno „wypisała” w tej kwestii.

— No, chyba tak...

— Wynikałoby, panie dyrektorze, iż informacja wielostronna między producentem, hurtem i handlem czasem szwankuje?

— Niestety.

— A jak wygląda informacja handlu dla klienta, czyli reklama?

— Generalnie w Polsce szwankuje sprawa reklamy handlowej. Za bardzo się reklamuje przedsiębiorstwa handlowe, a za mało same towary. Toteż w tym roku chcemy rozwinąć informacyjną reklamę artykułów sprzedawanych w naszej placówce. Cykl, połączonych ze sprzedażą, kompleksowych pokazów pod nazwą: „Do czego to służy”. Głównie myślimy o detalach gospodarstwa domowego, kosmetykach.

— Najskuteczniejsza reklama odbywa się na stoiskach, kiedy ekspedient umie poinformować klienta o cechach i walorach oferowanego towaru, a nie zawsze potrafi.

— Szkolimy personel, owszem. Ale jakość usługi handlowca zależy przede

de wszystkim od jego predyspozycji do zawodu. Do niedawna była duża płynność kadr w naszej branży, ostatnio to się stabilizuje, przychodzą ludzie z prawdziwym zamiłowaniem, choć, szczerze mówiąc, nadal jeszcze różnie się zdarza i nie zawsze ekspedient wie, co napisane w metce czy instrukcji obsługi określonego artykułu.

— Ale macie tutaj chyba jakieś bodźce finansowe?

— No tak. Kierownicy domów towarowych, pracownicy działu zakupu, sprzedawcy wynagradzani są w systemie czasowo-prowizyjnym, czyli płaca zasadnicza plus płaca ruchoma, zależna od wysokości sprzedaży, sięgająca zaś około 30 procent płacy zasadniczej. Średnie wynagrodzenie pracownika detalu wyniosło w roku ubiegłym ponad 3300 złotych.

— Panie dyrektorze, koniecznie muszę spytać o politykę przecen. Spotkałem bowiem i takie przypadki, że towary się przeceniało kilkanaście razy, tylko że o drobne kwoty. W efekcie nie było nabywców, artykuł niszczał lub zupełnie wychodził z mody i ostatecznie na przykład buty, kosztujące pierwotnie kilkaset złotych, sprzedawano po 20 złotych. Oto co się nazywa nonsensem!

— To raczej dawne czasy. Dzisiaj przecen posezonowych dokonujemy dwa razy w roku, w styczniu i w sierpniu. Siegają one, mówiąc językiem fachowym, głębokości do 50 procent ceny pierwotnej. To się kalkuluje zarówno nam, jak i nabywcom. Problem jedynie w tym, że kuleje kompleksowość sprzedaży artykułów przecenionych, którymi powinno się handlować w jednym miejscu, ale to już kwestia warunków lokalowych naszej placówki.

— Które są?

— Oglednie mówiąc, skromne. Dla potrzeb Lublina taki obiekt powinien mieć 15 tysięcy metrów kwadratowych powierzchni użytkowej.

— A posiada?

— 5600.

— Nowe inwestycje?

— Są tematem podlegającym szczególnie uważnej weryfikacji.



osamotnionymi staruszkami współpracując z PKPS, radami spółdzielczymi i administracjami domów mieszkalnych. Wreszcie pilnują porządku i urywają osiedli, dbają o warunki spędzania wolnego czasu, starają się o przydział lokali na świetlice, kierują budową placów gier, basenów, lodowisk, patronują sadzeniu drzew i krzewów.

Ostatnio przy kilku komitetach samorządów mieszkańców w Kraśniku, Puławach i Lublinie utworzono dodatkowe agendy — komisje profilaktyki społecznej. Zajmują się one bezpańską młodzieżą i osiedłowymi alkoholikami, prowadząc na bieżąco rozpoznanie i wysyłając wszędzie kuratorów społecznych. Każdy komitet obwodowy, który powołał taką komisję, ma mapę osiedlowych potrzeb w tym zakresie, dzięki której interweniuje niekiedy szybciej niż milicja. Na przykład na Tatarach pijanych młodzieńców wybijających okna w szkole uchwycili właśnie działacze.

Jak widać, bogaty program możliwości społecznego wyżywiania się w osiedlu jeśli nie zawsze ułatwia życie, to z pewnością mógłby. Drobiazgi, które na co dzień potrafią skutecznie zamęczać — zawsze mają przecież potencjalną szansę cieszyć. Każdy to czuje patrząc na schodki ze złym podjazdem dla wózków, na brak lodówki w osiedlowym sklepie, lub pustą piaskownicę. Tymczasem matki mogłyby wysyłać swoje dzieci na plac zabaw, gdzie czeka na nie społeczna opiekunka, młodzież poszłaby do letniej dyskoteki, ktoś wywodziłby na spacer samotną sparaliżowaną staruszkę. Wszystkie możliwości rozwijające społeczne odruchy omawiane były na ostatniej krajowej naradzie aktywno samorządów mieszkańców, bo styl naszego powszedniego dnia ma odpowiedniki w stylu pracy. Im lepiej odpoczywamy, tym lepiej pracujemy, więc im sprytniejsze mamy samorzady mieszkańców — częściej jesteśmy pogodni. Szkoda tylko, że najczęściej mówimy „my”, ale czekamy aż zrobią „oni”.

**T**O pytanie stawiałem sobie szczególnie często, gdy zbliżał się termin mego wyjazdu na staż naukowy do Szwajcarii. W czasie pobytu w tym kraju nieraz też byłem zapytywany przez moich szwajcarskich przyjaciół i znajomych — jacy my jesteśmy w waszych oczach?

Mówi się, że aby wydać sąd o jakimś kraju, należy być w nim co najmniej 10 dni, 10 miesięcy albo 10 lat. Ja byłem w Szwajcarii 10 miesięcy. Głównie przebywałem w Bazylei, na której przedmieściach zbiegają się granice trzech państw: Szwajcarii, Francji i RFN. Zwidziłem całą Szwajcarię, co nie było specjalnym wyczynem przy doskonałej komunikacji i niedużej powierzchni tego kraju (41 000 km<sup>2</sup>). Trochę dłużej, bo miesiąc, zatrzymałem się w Genewie.

Zaskakujący jest fakt, że co szósty mieszkaniec Szwajcarii (6 mln ludności) to nie Szwajcar. W latach powojennej prosperity napłynęły tutaj rzesze robotników cudzoziemskich z Włoch, Hiszpanii, Grecji, Turcji i Jugosławii. Gdy koniunktura gospodarcza przeskoczyła się w recesję, stali się oni ciężarem dla Szwajcarów. Do sprawy tej jeszcze wrócę. Mówmy o rdzennych Szwajcarach. Ten mały naród nie ma wspólnego języka. Według danych oficjalnych 65 proc. Szwajcarów mówi językiem niemieckim, 18 proc. francuskim, 12 proc. — włoskim i 0,8 proc. językiem retoromańskim (zbliżony jest on do średniowiecznej łaciny). Dodaj jednak trzeba, że w „niemieckiej” części Szwajcarii (obejmującej północną i centralną część kraju) ludzie rozmawiają między sobą w jednym z lic-

znalezienie nowej pracy nie jest rzeczą prostą z uwagi na stale utrzymujące się bezrobocie (w ubiegłym roku zarejestrowanych było 40 000 bezrobotnych).

Widoczne są wszędzie oszczędności w zatrudnieniu. W administracji rektora Uniwersytetu w Bazylei (7 000 studentów) pracuje raptem 7 osób, w tym dwie w kwesturze. Nie mogłem się temu nadziwić. Rzetelność w wykonywaniu swych obowiązków cechuje także studentów. Na wydziale prawa tego uniwersytetu większość ćwiczeń odbywa się z udziałem samych tylko studentów. Nikt nie sprawdzał obecności, nie egzekwował zadanego materiału, a jednak studenci licznie na nie uczęszczali, solidnie się do nich przygotowując. Myślę, że pewną rolę odgrywa fakt, że studia są odpłatne.

Rzetelność cechuje Szwajcarów także w stosunkach osobistych. Mimo dobrobytu i wysokiego poziomu cywilizacji pozostali oni narodem moralnie zdrowym. Najlepszym wykładnikiem tego są statystyki przestępczości i liczby osób przebywających w zakładach karnych. Wprawdzie w porównaniu do lat pięćdziesiątych przestępczość w Szwajcarii zwiększyła się, to jednak ciągle jest ona jedną z najmniejszych w Europie i świecie. We wrocławskiej przestępczości mają zresztą nieproporcjonalnie wysoki udział cudzoziemcy (głównie Włosi). Większość przestępstw to kradzieże, oszustwa, przywłaszczenia i wypadki drogowe. Występują tam też przestępstwa gospodarcze charakterystyczne dla ustroju kapitalistycznego — złośliwe bankructwo, lichwa, nadużycia w obrocie bankowym i czekowym. Bar dzo mało jest natomiast rabunków,

mitetu Czerwonego Krzyża, organizacji założonej w 1863 r. przez Szwajcara Henri Dunanta. Szwajcarzy udzielają zawsze szybkiej i efektywnej pomocy krajom nawiedzonym klęskami żywiołowymi lub wojną. Różne organizacje świeckie i religijne uczestniczą w akcji pomocy dla głodujących krajów w III Świecie. W czasie krajowych targów w Bazylei w ubiegłym roku jedna z organizacji kobiecych zażądała podniesienia cen na banany. Panie te dowodziły w rozdawanych ulotkach (do których załączony był bezpłatnie jeden banan), że owoce cytrusowe sprzedawane są przez biedne kraje III Świata i podniesienie cen na banany przyniesie tym krajom większy dochód.

Uprowadzi mnie sami Szwajcarzy, że ich rodaków cechuje dość powściągliwość, a nawet niechętny stosunek do cudzoziemców. Szczerze mówiąc, z czymś takim wobec mojej osoby nie spotkałem się. Istnieje na pewno problem robotników cudzoziemskich i członków ich rodzin. W okresie prosperity gospodarczej w latach sześćdziesiątych przybywali oni masowo do Szwajcarii, znajdując zatrudnienie w przemyśle, budownictwie i usługach. Gdy przyszedł czas recesji, zmniejszyły się zamówienia dla przemysłu, zmalało budownictwo i pojawiło się male bezrobocie — Szwajcarzy zaczęli patrzeć mniej chętnym okiem na „gastarbeiterów”. Niektóre ugrupowania reakcyjne zaczęły występować z postulatami wydanymi ustawy nakazującej pewnej liczbie cudzoziemców (głównie Włochów) opuszczenie terytorium kraju. Ale 13 marca br. obywatele Szwajcarii zdecydowanie odrzucili w drodze referendum tego rodzaju propozycje.

## Jacy są Szwajcarzy?

Andrzej Wąsek

nych tu dialektów (nie rozumiałych nawet dla Niemców). Mimo tego, że Szwajcarzy mówią różnymi językami, występuje u nich silne poczucie jedności narodowej.

Również pod względem wyznaniowym brak jest jednolitości. Lekką przewagę ilościową nad protestantami uzyskali ostatnio katolicy. Państwo szwajcarskie stanowi konfederację 26 kantonów, z których każdy posiada odrębną konstytucję, parlament, rząd, administrację, system podatkowy. Dla Szwajcara najważniejsza jest przynależność do gminy, ponieważ tam właśnie zapada większość rozstrzygnięć bezpośrednio go dotyczących (podatki, szkolnictwo, gospodarka komunalna, urbanistyka).

Cechą Szwajcarów jest pracowitość i rzetelność. Obserwacje moje potwierdza wynik ankiety, przeprowadzonej w tym roku przez Instytut Socjologii Uniwersytetu w Bernie. Ich stosunek do pracy jest prawie jednomyślny: 96 proc. ankietowanych oświadczyło, że uważają za swój moralny obowiązek dać z siebie przy pracy wszystko, co najlepsze. Nie są to deklaracje papierowe. Organizacji, kultury, mądrej dyscypliny i wydajności pracy można się od nich uczyć. Z okien domów akademickich w Bazylei i Genewie widziałem jak pracują robotnicy budowlani. Pracę rozpoczynają i kończą z minutową punktualnością, nikt się specjalnie nie spieszy, ale nie ma też dłuższych przestojów i wyskakiwania na piwo. Ten styl pracy przejęli też robotnicy cudzoziemscy.

Wydało mi się, że dobra praca występuje wszędzie: w fabrykach (zwidziłem zakłady papiernicze), służbach publicznych, usługach (tutaj bardzo rozwiniętych), rolnictwie i administracji. Szwajcarzy powiadają: świat zaradził nam zamożności, a przecież nasz kraj pozbawiony bogactw naturalnych zawdzięcza swój dobrobyt przede wszystkim wytrwałej i dobrze zorganizowanej pracy swych obywateli. Większość dochodu narodowego wytwarza przemysł produkujący nowoczesne wyroby o najwyższym standardzie światowym. Towary te reklamowane są często przy pomocy napisu — „towar szwajcarski = szwajcarska jakość”. Wydajność pracy szwajcarskiego robotnika jest bardzo wysoka. Jest to zasługa istniejącego tam systemu organizacji pracy, nowoczesnego wyposażenia technicznego, kultury pracy i bardzo pozytywnego do niej osobistego stosunku. Pewną rolę odgrywa też fakt, że

zgwałceń i łapownictwa. W zakładach karnych przebywa około 3000 osób. Dalej to w porównaniu do liczby ludności jeden z najniższych wskaźników w Europie.

Tłumaczyć to chyba można wstrzeźliwością w spożywaniu napojów alkoholowych. Wódka jest bardzo droga, natomiast po dość przystępnych cenach sprzedawane są piwo i wina. W akademiku w Bazylei odbywały się co miesiąc wieczorki taneczne. Mimo że piwo i wina było pod ręką, nie zauważyłem nigdy nikogo nietrzeźwego. Do obiadu lub kolacji niektórzy wypijają (zwyyczaj przyszedł z Francji i Włoch) szklaneczkę wina i wcale ich nie ciągnie, aby opróżnić butelkę do dna.

Szwajcarzy sporo uwagi poświęcają sprawom gospodarczym i komunalnym, a ostatnio także ochronie naturalnego środowiska człowieka. Ludzie majątni pilnie śledzą notowania giełdowe, kursy akcji wielkich koncernów, kursy walut (frank szwajcarski trzyma się mocno), informacje dotyczące handlu zagranicznego i ruchu turystycznego. Politykę zagraniczną przeciętny Szwajcar interesuje się poprzez pryzmat interesów gospodarczych swego kraju.

Jakie są ich wady narodowe? Zapytałem o to pewnego studenta w Bazylei. Odpowiedział — typowy Szwajcar to materialista i egoista. Myślę, że jest to sąd zbyt mocno sformułowany. Osobiście wolałbym mówić o nadmiernym zmyśle do oszczędzania (lub jak kto woli — skąpstwie), małej gościnności i pewnej niechęci do cudzoziemców. Spotkałem zresztą Szwajcarów, którzy mieli pewien gest i byli gościnni. Wchodzili tu jednak przeważnie w grę ludzie związani w jakiś sposób z Polską z uwagi na więzi rodzinne lub pobyt turystyczny w naszym kraju. Zapoznając się z polską gościnnością uprzytamnia Szwajcarom, jaką mamy pod tym względem nad nimi przewagę. Sami zresztą mówią o tym otwarcie. Słuchałem kiedyś w radiu szwajcarskim blisko godzinnej audycji o Polsce. Dziennikarz z sympatią przedstawiał nasz kraj, mówił o gehennie II wojny światowej, powojennej odbudowie i osiągnięciach przemysłu. Tym jednak, co najbardziej go zadziwiło, była nasza gościnność i hojność w podejmowaniu cudzoziemców.

Na płaszczyźnie międzynarodowej dobrego imienia przysporzyła Szwajcarii działalność Międzynarodowego Ko-

Można jednak powiedzieć, że stosunek Szwajcarów do cudzoziemców jest dość ambiwalentny. Widoczne to jest np. w Genewie, gdzie trzecia część mieszkańców to cudzoziemcy. Genewa jest siedzibą licznych organizacji międzynarodowych, ciągle odbywają się tam zjazdy, wystawy, konferencje itd. Członkowie zagranicznych przedstawicielstw mieszkają stale ze swymi rodzinami, liczny jest personel techniczno-administracyjny. Ludzie ci bardzo dobrze zarabiają, mają interesującą pracę (albo po prostu nie robią), nie placą przy tym podatków i to trochę drażni Szwajcarów. Genewczycy doskonale wiedzą, że miasto ich zarabia na swym statusie międzynarodowym (kwitną usługi i handel), ale jakaś nuta jakby pretensji daje o sobie znać w ich kontaktach z cudzoziemcami.

Do turystów zagranicznych (na nich się zarabia) Szwajcar odnosi się bardzo dobrze, chociaż w ostatnich latach kraj ten okazał się za drogi dla turystów, blisko połowa łóżek w hotelach jest nie zajęta. Inny jeszcze stosunek mają Szwajcarzy do cudzoziemców, którzy z różnych powodów na stałe osiedli w tym kraju. Nie dziwię się temu, bo niektórzy z nich rozstali się ze swym krainem ojczystym w niezbyt uczciwy sposób. Dodam jeszcze, że doskonały był stosunek ludności szwajcarskiej do 10 000 żołnierzy polskich, którzy po ciężkich walkach w czerwcu 1940 r. z bronią w ręku przebili się z Francji do Szwajcarii, gdzie zostali na czas wojny internowani. Jedyną pretensję mieli Szwajcarzy tylko o to, że Polacy cieszyli się zbyt dużym powodzeniem u kobiet. Wiele sympatycznych dowodów w postaci mieszanych małżeństw przetrwało do dzisiaj.

Zdaje sobie sprawę, że nie udało mi się nakreślić portretu charakteru narodowego Szwajcara. Zbyt złożony to temat. Wiedzieć bowiem trzeba, że mieszkańcy niemieckojęzycznych Bazylei i Zurychu różnią się zdecydowanie od rodaków mówiących po włosku w Lugano lub po francusku w Genewie, że między niemiecką i romańską Szwajcarią utrzymują się lekkie animozje, na tle różnic w postawach życiowych,

Dokończenie na str. 13





Fot. A. Polakowski

**D**WORZEC autobusowy w Lublinie. Poniedziałek 2 maja godzina 10. Ruch niewielki. Kilku pasażerów przed kasami biuletowymi. Pięć osób przed przechowywaniem bagażu. Dzisiaj obok dyżurujących tam dwóch bagażowych jeszcze jeden osobnik. Biała koszula, barwny krawat i marynarka różniąc się kolorem i gatunkiem od kity bagażowych. Reprezentuje Pomocnicze Przedsiębiorstwo Usługowe Kolej. Będzie prowadził licytację przedmiotów nie odebranych w terminie z przechowywania bagażu. Pomaga mu sekretarka. Pani Olga — szef do niej mówi. Pani Olga rozkłada papiery. To rejestr przedmiotów nie odebranych spod opieki przedsiębiorstwa.

Uczestniczący w licytacji muszą posiadać dowody osobiste. Dowód potrzebny jest do spisania protokołu nabycia. Dwie spośród trzech pań najwyraźniej poruszone. Nie mają dowodów. Do licytacji zostaną jednak dopuszczone. Jedna z nich pracuje na dworcu jako sprzątaczką i jest dobrą znajomą bagażowego. Druga jest jej przyjaciółką. Bagażowy rekomenduje obie panie u prowadzącego licytację. Sprawa do zatwierdzenia. Kupujących mało, a wypchanych toreb, siatek i walizek sporo. Upłynąć to w końcu trzeba... Miejsce niepotrzebnie zajmują. I kurz na nich się gromadzi.

Trzecia z pań ścisła już w rękę port monetkę. Głowa nakryta peruką, spod której wystają siwe kosmyki włosów. I dwóch mężczyzn jeszcze. Starsi obaj. Większy i mniejszy. Twarze i ubrania jak z obrazów Kowarskiego. Znaczący, że trudno wyczytać byłoby z jakiej epoki pochodzą lub, inaczej mówiąc uniwersalny krój garderoby pozwoliłby im spokojnie żyć przynajmniej w kilku epokach i w żadnej z nich nie byłoby posądzeni o ekstrawagancję. Nieogoleni obaj. Mniejszy z twarzą ogorzałą od słońca. Widocznie dużo czasu na powietrzu spędza. W rękę dwie butelki po piwie. Nie, nie on je opróżnił. Znalazł je. Są oblepione błotem Wymyja i sprzedaje. To cała piątka. Przyłaził się jeszcze Cyganek. Tylko na chwilę. Ona nie z tych co kupują.

Na pierwszy ogień idzie obraz. Oleodruk. Imponujące rozmiary 90x60. Niejedno mieszkanie mógłby ozdobić. Zachód słońca przedstawia. Temat nie przez każdego mistrza malarskiego podejmowany. Byli właściciele oddając go do przechowywania wycenili go na 30 złotych. Nie jest to bez znaczenia. Cena wywoławcza jest od tego uzależniona. Wynosi połowę wartości zgłoszonej przez właściciela.

— Rozpoczynamy od 15 złotych — informuje prowadzący licytację.

— Dałbym — mówi większy z mężczyzn.

Deklaruję 20 złotych. Tamten podbija cenę na 21. Decyduję się na 25. Rywal nie patrzy na mnie. Uwagę skupia na obrazie. Trzyma go przed sobą w wyciągniętych rękach. Uważnie patrzy. Na handlarza dzielami sztuki w tej chwili wygląda. Zawsze sumę do 26. Bez wahania proponuję 30. On 31. Ja 35.

Po raz pierwszy 35, 35 po raz drugi, po raz trzeci. Z zalem odkłada obraz. Pani Olga spisuje protokół.

Ktoś z podróżnych chce oddać bagaż do przechowywania. Pyta czy nie przeszkadza. Robią mu miejsce. Stawia walizkę na kontuarze.

— Jaka wartość? — pyta bagażowy.

Klient się waha. Spogląda na ludzi wokół. Nie domyśla się nawet po co tu przybyli. Po chwili zastanowienia decyduje się na 1000 złotych. Obecni patrzą na walizkę. Solidna jest. Wyceniają w myślach. Już jak na przedmiot licytacji patrzą. Klient zorientował się, że tej grupie coś niedobrze z oczu patrzy. Pożądliwie walizkę obmacują. Gotowi do niej jeszcze zajrzeć. Kwit nadania w rękę trzyma, ale nie odchodzi. Obawia się o walizkę. Nie wiadomo co podejrzewa. Ale bagażowy na półkę walizkę odstawia. Przepisowo. Podróżny uspokojony odchodzi.

Jeśli nie zgłosi się w ciągu 10 dni,

licytacja jego walizki rozpocznie się od 500 złotych. Tylko 10 dni. Może zapomnieć, spodnie (w które kwit schował) do pralni oddać, na pogrzeb mogą wezwać, albo podejrzliwa kochanka w domu zamknie na czas swego wyjazdu.

Krótko trwa przyjęcie bagażu. Nowy przedmiot na kontuar do licytacji wystawiony. Ładna torba ze skaju, ale z urwanym uchem. Wypełniona po brzegi damskimi fatalaszkami. Dziurawe pończochy, fartuszek, haleczka, chyba nie najczyściejszy ręcznik. Cena wywoławcza 150 złotych. Kobieta w peruce nabywa ją za 160.

— Za samą torbę po przyszytciu ucha można za 150 wziąć — mówi uradowana. — Nie licząc tego co w środku. Pan też nieźle kupił — zwraca się do mnie. — Obraz nieco zniszczony, ale rama jaka. Ze trzy razy tyle warta.

Koniec rozmowy. Druga torba wystawiona. Bardziej zniszczona, ciekawsze rzeczy jednak kryje. Barwniejsze i mniej używane. Od razu to widać. W kupujących nadmierne emocje się nie budzą. Nikt nikomu z rąk nie wydziera. To nie sklep i nie ciuchy spod lady. W każdej następnej paczce ciuchy mogą być lepsze. Dlatego żadna z kobiet drugiej ceny zawyżać nie będzie. Sprzątaczką kupuje za cenę wywoławczą. Za chwilę oglądamy skarby ukryte w pozostawionej siatce. Jest piżama, szlafrok, miękkie kapcie, bluzka ortalionowa, kosmetyczka. Nabywczynią zostaje przyjaciółka sprzątaczką. Rozsuwa kosmetyczkę. Szczotka do zębów ładuje w koszu. Maszynkę do golenia ogląda. Ładna jest, żółta. Niemalże piękna. Podoba się, chociaż nigdy nie będzie musiała jej używać. Tak, piękno jest zazwyczaj bezużyteczne.

— Fewnie amerykańska — mówi z zadumą mój niedawny rywal.

— Będzie prezent dla zięcia — postanawia nabywczyni.

Następna paczka. Nie w torbę lecz w papier odzież zapakowana. Cena wywoławcza 400 złotych. Kobiety już obejrzały. Wyższy z mężczyzn ogląda. Swetry zupełnie nowe. Spodnie również. Chętnych jednak nie ma. Prowadzący licytację niecierpliwi się.

— Towar niezły — podpowiada. — Czemu nie bierzecie?

— Towar niezły, ale kto by w takich spodniach na miasto wyszedł? — mówi wyższy i jest on wyraziście wszystkich, gdyż kobiety zgodnie potakują. Są zbyt kolorowe. To ich wada.

Pani Olga zapisuje: licytacja nie odbyła się z powodu braku kupca. Na następnej licytacji niesprzedany towar cenę wywoławczą będzie miał o połowę mniejszą.

Za chwilę bagażowy wyciąga walizkę. Mocno zakurzona. Jeszcze mocniej zniszczona. Z pewnością podróżowano z nią jeszcze w czasach miłościwie panującego Franciszka Józefa. Wypełniona włosami anielskim. Snieżnobiałym. Na choinkę. Tylko sto złotych, ale kto w maju o zabawkach na choinkę myśli? Dużo tych włosów. Nikt tego nie mówi, wszyscy o tym myślą. Można kilka choinek przystroić, albo jedną dużą w zakładzie pracy na przykład. Wyższy z mężczyzn z lubością zanurza rękę w szeleszczącym złotku. Palcami chwilę przebierał i parasolkę z dna wyciągnął. Niczym czarnoksiężnik. Prowadzący się ucieszył. Może teraz kupią. Wartość bagażu niewiele mogła wzrosnąć. Parasolka zepsuta. Rozłożycie nie dała.

Licytacja nie odbyła się z powodu braku kupca, ponownie zapisała pani Olga w protokół.

Na następnej licytacji tylko 50 złotych, później 25, 12,50. Jak się komuś poszczęści, to przed świętami może za 6 złotych kupić. Na razie nam koszulę męską proponują. Białą. Nonironową. Za dwadzieścia pięć złotych. Numer 39. Mój rywal ją kupuje. Kobiety nie podbijały ceny. Tamten nie nie kupił. Niech więc kupi. Przecież bez koszuli jest. Kaftan na gołym ciele. Wiadomo, nie na handel kupuje, a dla siebie. Nawet do prania może nie odda, lecz za pobliskim kioskiem na grzbiet wciągnie.

Buty gumowe na licytację wystawione. Bez specjalnego opakowania. W gazetę zawinięte. Cena wywoławcza 10 złotych. Chętnych nie ma. Prowadzący licytację dziwi się temu. I pani Olga się dziwi, i bagażowy. Tylko 10 złotych, a kupca nie ma.

— Stanowczo za drogo — mówi mniejszy mężczyzna, ten co butelki na

sprzedaż niesie. Milczał do tej pory, ale te słowa stanowczym tonem wypowiedział.

Bagażowy wychylił się z kantorki i spojrzał na niego groźnie. Zapewne sądził, że pokpiwa i niepotrzebnie elementy humorystyczne w poważną imprezę wnosi.

Ten, dla którego gumowce za drogie były, wskazał na swoje buty mówiąc: za moje buty rok temu 30 złotych dałem i jeszcze dwa lata chodzić będę. W tych roku bym nie przechodził.

Wie, co mówi. Fotrafi dobre rzeczy od bubli odróżnić. Dziś nie go nie zainteresowało, może pieniędzy nie miał, a może nie mu nie potrzebne.

Pani Olga ponownie zanotowała, że licytacja z powodu braku kupca nie odbyła się. Również na nienadmuchaną piłkę, taką materac, hulajnogę, zepsute rakiety do komетки kupca nie było. Znacznie szybciej znajduje się nabywca na odzież i najrozmaitszego rodzaju bieliznę. O ile oczywiście nie za droga. Kobiety już są właścicielkami kilkunastu bagaży. Zadowolone. Jak zwykle po udanych zakupach.

Już ostatnia licytacja. Worek plastyczny. Wewnątrz płaszcz ortalionowy, koszula flanelowa, spodnie i fartuch roboczy, buty jakich eleganci zazwyczaj nie używają. Cena wywoławcza 400 złotych. Wyższy z mężczyzn najwyraźniej zainteresowany. Spodnie do swej figury przymiera. Pasują. Jak na niego szyte. I płaszcz ortalionowy ogląda. Podoba mu się. Na lato dobry. W długoterminowych prognozach ciepły maj przewidują. Płaszcz więc jak znalazł. Nie bardzo „znalazł”, bo 400 złotych wszystko kosztuje.

— Panie kierowniku — zwraca się do prowadzącego licytację — nie dałoby się taniej?

— Na następnej licytacji będzie taniej.

— Ja przejeżdżę, panie kierowniku...

Kobiety obladowane odchodzą. Kierownik niepewnie się rozgląda. Odchodzi. Może, gdy świadków nie będzie, dogadają się przedzej.

To wszystko. Przypominam jedynie. Na następnej licytacji, przy końcu maja a może na początku czerwca, możesz nabyć kilka atrakcyjnych przedmiotów. Piłkę, z której zeszło powietrze, za jedyne 5 złotych, buty gumowe męskie, niezniszczone, w takiej samej cenie, walizkę pełną anielskich włosów plus zepsuta parasolka tylko 50 złotych, hulajnoga taka sama cena oraz wiele innych pięknych i atrakcyjnych przedmiotów, choć niekiedy bezużytecznych, bo czegoż to ludzie w podróż nie biorą.

Adam Galis

## LUBLIN

OGROD SASKI

Do każdej tutaj wierszy przygnątoym klatką pierwową tylko one w zyscie lip i dębów w piwoim poranku kwietnią witaly mnie wczesną zieleńią.

Dzisiaj w mieście młodości mojej przez drzew i kosciołów nie mam przed kim głowy obnażyć.

Tędy w smarkatnym dzieciństwie gnatem kuaaty i bosy stuchając zawodzeń skrzeczących ropuch ukrytych pod lipianami.

Tu, w tej alejce spracowaną rękę matki laskoczący poklute igłami cmokalem „Mniej catuj, więcej szanuj” lubila powtarzać.

A w jej koszyku bułeczki pyzate masło, szczyptorek modry, laskoczący nozdrza zgotowane i przekrzione ciała tulipanów odslaniających bezwstydnie tajemne kielichów dno.

Tędy zapamiętałe lamiąc zakazy trawnikiem biegnąc bezradnie ścigalem ptaki przelotne motyle — admirały.

Ziemio młodości mojej lubelska ległbym na tobie krzyżem wziętym pod brzuch i pod uda pułchne wzpórki kretowisk wdychając przycmione wonie palonych liści tytonu w kryjówkach mego dzieciństwa w krzakach natrętnych czepiowych jak ręce pierwszych kochanek.

Tu bezczelny młody smaczne spierzchnięte usta dziewczęce zgwałciłem w pocałunku

raptem porażony trąbką sygnałem nocnego dozorczy zwiastuna wagnania z raju zlizalem z warg ukochanej ciepłą poziomkę krwi.

Tutaj pod szubienicą mistrz młodości mojej redaktor Teodor Kaszyński nauczał pijanym belkotem: żyj zawsze w zgodzie z własnym sumieniem.

Ile ja razy jego święte przykazanie jedenaste zdradziłem zalotnik samolub chłopak krzywoprzysięzca na świadka wątlých uczuć brałem niewinne imię miłości

Moja wina moja wina moja bardzo wielka wina

Ale czy za te winy dorosłe na taką zasłużyłem karę bym syn rodzimy tej ziemi w trzydziestym dziewiątym w palak przegięty truogą twarz biczom pokrzyw poddawał

Czy za grzechy moje takiej wart byłem kary bym dzisiaj jako ślepiec widomy szukał umarłych znajomych zaulków.

Bym grobów drogich nie znając składał ciete kwiaty przed pomnikiem ducha Józefa-poety.

By się naigrywało ze mnie obelżywie czyste wonne narcyzami ranka powietrze kołysane wiatrem Relzca Sabiboru Majdanka.



# Pożegnanie z ojcem

Stanisław Podlaski

**W** CIEPLY czerwcowy wieczór, zaraz po kolacji, spotkałem Janka. Szedł ze sztabowym Zelke z 12 bloku w kierunku głównej kancelarii obozowej. Był zamysłony.

— Cześć stary! — krzyknąłem mijając go. — Dokąd bogi prowadzą?

— Serwus — odparł cicho Janek.

W jego głosie odczułem niechęć do nawiązywania rozmowy. To tak, jakby chciał powiedzieć — zostaw mnie w spokoju...

Rok 1941 w obozie koncentracyjnym Flossen-burg był dla lubliniaków rokiem egzekucji, ponieważ wykonywano wyroki, jakie zapadły w Lublinie 27 grudnia 1940 roku. Dlatego patrząc na Janka wchodzącego do „Schreibstube” odczułem lęk. Do bloku wróciłem pełen niepewności.

Janek dość długo nie wracał. Czekałem na niego. Zjawił się około godziny 20. Był bladej i mocno zdenerwowany. Na pytania, jakie mu zadawaliśmy, nie chciał odpowiadać. Kiedy już leżał w łóżku, podszedłem do niego i zapytałem:

— Co się stało?

— Parę dni temu taszczyłem za mały kamień z pracy i wówczas zakapował mnie jeden z SS-manów, zapisał numer i dziś zapadł wyrok.

— Jaki? — zapytałem natęczywie.

— Dostałem cztery niedziele karnej pracy bez obiadu.

— I więcej nic? — pytałem z niedowierzaniem.

— Dziesięć kijów, wystarczy! — krzyknął do mnie mocno poirytowany. — Dostałem chyba w nerki. Co chcesz wiedzieć jeszcze?

— Nic — powiedziałem spokojnie.

— Mam cholernego pecha — mówił z żalem Janek. — Jednych biorą od razu i koniec, a ja muszę pomeczyć się dodatkowo i dopiero „rozwalka”. Lecz mam tę pewność, że przeżyję miesiąc dłużej niż ty. Muszę odbyć karę, bo przecież Niemcy są nadzwyczaj dokładni.

— Zwłaszcza przy wymierzaniu kary — dodałem.

— Byłem kiedyś karany. Miałem otrzymać dziesięć kijów. Wymierzający mi karę SS-man dołożył mi dodatkowo trzy uderzenia przepaszając mnie przy tym, że były zbyt słabe.

Po dwóch tygodniach spotkałem Janka w kamieniołomie. Umówiliśmy się z nim w czasie przerwy obiadowej przy drodze biegnącej środkiem kamieniołomu. Siedział na uboczu, jedząc swój obiad składający się z brukwi i trzech ziemniaków w lupinkach. Usiedliśmy razem. Na lewo widniał obóz, a w dole przed nami roztaczał się piękny widok: białe budynki pobliskiej osady, tonące wśród zieleni. Janek powiedział:

— Tak chciałoby się zamiast tego widoku zobaczyć rodzinne Podlasie!

Janek był romantykiem. Znałem go jeszcze z więzienia lubelskiego. Był aresztowany razem ze swoim ojcem Miał wtedy 17 lat. Pamiętam doskonale, że zwróciłem na niego uwagę, kiedy wszedł do łazienki więziennej. Był wysoki, smukły, o ciemnej karnacji skóry. Miał już uwidaczniającą się czarną zarost, oraz długie, kucze i mocno kędzierzawe włosy. Rozmawiając patrzył każdemu prosto w oczy, zwracał na siebie uwagę. Nawet SS-man pełniący wówczas służbę w łazni podszedł do rozbranego Janka i zapytał:

— Junge, warum bist du hier?

— Nie wiem — odpowiedział Janek, patrząc SS-manowi głęboko w oczy. — Chyba dlatego, że jestem Polakiem.

SS-man odszedł bez słowa.

Drugi raz zobaczyłem Janka przed rozprawą. Sąd odbył się w tym samym dniu, a następnie transportowano nas przez Oświęcim do Flossen-burga.

Janek był skryty, nie lubił opowiadać o sobie. Rzadko wspominał ojca. We Flossenburgu ojciec jego był w 13. a on w 12 bloku. Pracowali także oddzielnie. Ojciec przy rozsadzaniu litej skały i transporcie kamieni, a syn obrabiał kamienie. To lato było dla nas nieszczęśliwe. Co kilka dni rozstrzelano lubliniaków. W obozie to normalna kolej losu: wyczytywano numer więźnia podczas wieczornego apelu, transportowano do aresztu i następowała egzekucja.

Zapytałem Janka, kiedy ostatni raz widział ojca.

— Na Wielkanoc — odpowiedział.

Wyczułem, że tym razem chciał się zwierzyć z tego spotkania.

— Opowiedz! — poprosiłem.

— Sprzątałem korytarz — zwierzył relacjonował Janek — kiedy wpadł goniec obozowy wywołując mój numer. Zgłosiłem się do blokowego Kłowski.

Był to Niemiec noszący polskie nazwisko, nawet znał trochę nasz język. Kazał mi iść z goncem. Po drodze pytałem: „Po co i gdzie mnie prowadzisz?” — „Blockführer cię wzywa!” odparł niechętnie. Goniec zgrywał waśniaka. Dlatego zaniechałem dalszych pytań. Doszliśmy do 13 bloku. Przed blokiem stał SS-man. Okazało się, że ojciec prosił go o zezwolenie widzenia się ze mną. Zameldowałem się. Zlustrowawszy mnie wnikliwie, pozwolił wejść do bloku. Ojciec ucieszył się widząc mnie zdrowym. Byłem z nim dwadzieścia minut.

Relacja Janka wstrząsnęła mną. Tak niedawno jeszcze zazdrościłem mu, że jest blisko ojca, a teraz zrozumiałem, że bliskość ta nie czyniła go szczęśliwym. Powiedział mi, że nigdy nie kochał ojca, nie czuł więzi z nim nawet w obozie. Po prostu obojętny był mu ojciec i jego los, tak jak kiedyś ojcemu obojętny był los syna. Dowiedziałem się, że ojciec Janka miał skłonności do upijania się, często się awanturował, krzywdził rodzinę. Janka wychowywała babka, a uraz psychiczny, niechęć do ojca, którą nosił w sobie będąc dzieckiem, pozostała nawet w tych tragicznych chwilach.

Czułem jednak, że Janek pragnie ojcu przebaczyć, ale nie wiedział, jak to zrobić, gdyż ich spotkania były sztywne i rzadkie.

— Wiesz, Janek — zacząłem — a może ty powinienś wyjść mu naprzeciw?

— Co przez to rozumiesz?

— Po prostu spotkaj się z nim. Powiedz, co myślisz o nim. Nawet okrutna prawda może was zbliżyć. Zwłaszcza kiedy nasze chwile są policzone i kiedy robi się rachunek z samym sobą, ostrzej widzi się wszystkie wyrządzone komuś krzywdy. Czuję, że ojciec twój czeka na twoje przebaczenie, a ty unikasz go i milczysz.

— Co ty, Staszek, co ty, o czym ty myślisz?

— Ja... ty wiesz najlepiej.

— Ale przecież on nie może umrzeć, my musimy razem wrócić na Podlasie...



Rys. E. Inglet

— Ty wiesz, że to jest niemożliwe — powiedziałem. Zobaczyłem, że płacze.

— Widzisz, kochasz go. Kochamy ojców nieraz nawet wbrew urazom, jakie nosimy w sobie. Przecież w naszych żyłach płynie ich krew.

— Słuchaj, pojść jutro do niego! Właściwie nigdy nie odczuwałem jego serdeczności i miłości. Spróbuj teraz.

— Idź, Janek...

Po kilku dniach w kamieniołomie podczas przerwy obiadowej znowu jedliśmy razem obiad. Do Janka podszedł jeden z więźniów, chyba pomocnik kapo. Zwrócił się bezpośrednio do Janka:

— Zostań tu, zaraz przyjdzie twój ojciec. — Powiedział to w formie nakazującej.

Odszedłem na bok, pozostawiając Janka samego. Usiadłem parę kroków dalej widząc i słysząc wszystko.

Przyszedł ojciec. Był lekko pochylony. Janek zerwał się na nogi. Milczeli. Byli trochę podobni do siebie. Janek był jednak znacznie wyższy od ojca i bardziej wychudzony.

Usiedli naprzeciw siebie. Obserwowałem Janka. Usiadł na glazie trzymając miskę na kolanach. Widziałem, że jest mocno podekscytowany. Rece mu drżały i było widać, że nie wiedział, co z nimi zrobić, gdzie i jak je ułożyć, czym się zająć i co mówić. A przecież tak oczekiwał tej rozmowy i pragnął jej!

Przeżycia Janka uwidaczniały się nie tylko w elagłej zmianie położenia rąk, nogami także balansował. Zmieniał ich pozycję. Kurczył i wyprostowywał je. Przekładał lewą nogę na prawą i odwrotnie. Wycierał nos, oczy. Poprawiał ostrzyżone włosy. Czułem, że chciał coś powiedzieć, coś co mu leży na sercu. Przy tym mienił się na twarzy, raz bladej, raz czerwieniejąc.

Ojciec także niezwykle przeżywał spotkanie z synem. Wprawdzie starał się nie okazywać tego, lecz mu to nie wychodziło. Widać było, że tłumił w sobie wiele uczuć i słów, dało się odczuć, że przyszedł do syna z jakąś misją.

— Miałeś list z domu? — przerwał milczenie ojciec.

— Tak.

— Co mama pisała?

— Jest zdrowa.

Po tym lakonicznym wstępie dał się słyszeć pewny i stateczny głos ojca:

— Słuchaj, synu. To jest chyba nasze ostatnie spotkanie i rozmowa w tym kamieniołomie...

— Tato! — przerwał poruszony Janek.

— To prawda. Wiem, że lista wytypowanych na rozstrzelanie jest już napisana i znajduje się w głównej kancelarii obozu. Są między nimi wszyscy z Radzyna, twego numeru i nazwiska na tej liście nie ma.

Janek wnatrywał się uważnie w twarz mówiącego ojca. Chciał ją zachować w pamięci. Po tym, co powiedział ojciec, chciał usłyszeć więcej. Czekał na słowa ojca wyrażającego żal za swoje postępowanie, czekał na słowa prośby o przebaczenie za wyrządzone krzywdy.

Wyczuwając napięcie syna, ojciec powiedział:

— Ty powrócisz. Przeproś wszystkich w moim imieniu, wszystkich, których skrzywdziłem lub obraziłem.

Słowa te podziałały na Janka jak czarodziejski lek. Oparł się o głaz skalny. Położył głowę na wystającym kamieniu i całym sobą słuchał ojca.

Kiedy usłyszysz salwę strzałów, będę już kołnał. Pomyśl wtedy o mnie — mówił ojciec łagodnie i bardzo spokojnie. — Będzie mi lżej umierać. Ciesz się, że odnalazłem syna przed śmiercią. Bądź dzielny, zwłaszcza wtedy, gdy będziesz nas widział gnanych z aresztu na egzekucję. Nie rób niczego, co nie jest zgodne z regulaminem obozu. Nam nie pomożesz. Ty musisz przetrwać obóz. Zanieś wieść o naszej śmierci do rodziny.

Janek zakrył twarz rękami. Chciał ukryć swoją słabość. Lzy obłyły mu z oczu po wychudzonych policzkach. Była w nich rozpacz nasilająca się pod wpływem słów ojca. Widać było, że bardzo pragnął przytulić się do ojca, a jednak krepował się i bał się jego reakcji. Był bezradny. Czuł, że bariery podtrzymujące ciężar życia zaczynają ugiąć się pod ogromem przeżyć i doznań. Narastał piekący ból w piersiach. Serce stawało się ciężkie jak blok skalny. Coś, czego nie da się ściśle określić, podchodziło nieubłagane pod gardło. Zaczęło się wokół niego obracać stalowa, coraz mocniejsza i mocniejsza. Dławiło. Płuca z ledwością chwytały oddech.

— Zanieś śmierć naszą do kraju! — szumiąco w głowie jak tragiczne echo.

Przebiegły gwizd kapo. Pora obiadowa skończona. Ojciec wstał ociężale, podszedł cicho do Janka, jak gdyby nie chciał go zbudzić z drzemki popołudniowej. Pochylił się nad nim i po raz ostatni dotknął swymi ustami zimnego i zroszonego kropelkami potu czoła swego dziecka.

— Zegnaj, Janku! Zegnaj na zawsze! — wyszeptał ledwie dosłyszalnym głosem.

Zrobił w tym zwrot i nie oglądając się za siebie odszedł. Chciał zachować wspomnienie o Janku takim, jakim go zostawił, niby drzemającym na glazie. Szedł do swego komando, które już zbierało się do pracy.

Wolnym krokiem zbliżyłem się do Janka, który nadal trwał w pozycji, w jakiej pozostawił go odchodzący ojciec. Miał szeroko otwarte, nieruchome oczy, wpatrzone w kierunku oddalającego się ojca.

Kiedy ojciec zniknął całkowicie za skałą, podszedłem do Janka. Bez słowa chwyciłem jego rękę. Szarpnąłem. Robił wrażenie, jak gdyby się przebudził. Stał się znowu jak dziecko za ojcem. Doszliśmy do szeregu komando. Janek dołączył jako jeden z ostatnich. Bez słowa poszedł do pracy.

Tego samego dnia na wieczornym apelu wyczytano numer ojca Janka wśród przeznaczonych na rozstrzelanie...



**I**NAKSZA lokomocją do nas nie dojedzie jak końmi. Ani samochodem, ani nawet traktor nie przelezie. Widzisz pan, co tu się robi? Żeby nie ten nasyp drogi, to tedy nikt by nie przejechał. Patrz pan! Cały las zalany, tylko oichy stoją w tej wodzie. Prosto jezioro. No, wio ma-luskie.

Bagna tu i bagna. To jest niesamo-wita wioska. No i żebyś pan powie-dział, czego się ten naród pobudował tutaj? Czego on żyje w tym błocie?

Ja tu już jestem trzydzieści lat. Soł-tysem nie jestem całych trzydzieści, ale zawsze o mnie była mowa, że Kral Franciszek sołtys, niech będzie Kral sołtys. A ja nie zawsze chciałem, bo to przecież nie jest taka przyjemna służba.

Jak ja tu przyjechał, to przepaść tu-taj była straszna. A teraz, Bogu dzie-ki, można przejechać jakokółwiek. Po-słuchali się mnie ludzie i zrobili się. Cały ten nasyp, jak pan widzi, własno-ręcznie-śmy sypali. Każdemu po dwa-dziesiąt metrów wyznaczylem. Kółeczka-mi sobie naznaczyli... po dwadzieścia metrów. Może to i było dla nich za du-żo, za ciężko? Ale nie ma zmiłuj się! Na tym odcinku tyłu ma wyjść gospodarzy, na tym tyłu! Nie wyszli, to ja konie batem i po wsi. — „Dlaczegoś nie wyszedł?”

I takżeśmy zrobili tę drogę. Na niej już błota nie ma i możemy jechać szyb-ciej. Wiooo, chłopaczki!

Ale jak się skończy te dwa kilome-trów, to znów przepaść niesamowita. Trza by było dokończyć do Wólki, do mostu, co go z ludźmi swojemi zro-bilem. Kawalek grobli wysypać i już by-łobyśmy połączeni ze światem.

No i taka ta moja działalność jest. Bardzo na przykład lubię, żeby we wsi był porządek. Czasem i młodym zwracam uwagę, jak za dużo mi tutaj piją. Żeby mnie nie było tego! Chwasty — jak są — zaraz zwracam uwagę. Wczasy żeby mi były podorywki zrobione. Idę nie raz popatrzeć się — dlaczego ty nie orzesz? Wczesna orka, to gnoju furka, takie stare przysłowie jest.

Na podatek ratę zawsze w terminie wpłacam. Miałem takich czterech płat-ników, że naprawdę ciężko z nimi by-ło. Bo jeden na jednym końcu wsi, dru-gi na drugim końcu, trzeci na trzecim i na czwartym. Do tych czterech płat-ników przejść musiałem całą wioskę. To mówię im: — „Ludzie! Czyż wy moich nóg starych nie szanujecie? Za-plaććie musisz a nie, to poborca przyjdzie i stratę masz! Po co ci to? Masz parę groszy? Zapłać, bo wodą nie od-pijesz!”

Nie wiem, czego ja się tu zostal. Ja przecież jestem z dobrej ziemi, zza Bu-ga jestem. No ale później, jak przy-szła wojna, zaczął się szum z tymi nacjonalistami ukraińskimi, zaczęli nas tam ploszyć, to i musieliśmy stamtąd

uciekać. Żona osiedliła się tutaj z ro-dzicami. A ja byłem wtedy w wojsku. Później, jakem już z wojażki wrócił, już tu żona, już tu rodzina, no i tak zostało.

Ziemia tutaj jest czwarta, piąta i szósta klasa. Przeważnie dużo krzaków. Tośmy musieli te kepy równać, te krzaki wycinać! Sam pół hektara łąki musiałem wykarczować!

Mówili, że tu się nie rodzą jęczmio-na. Pytałem się, to mówią: — „Oj, pa-nie, tu o jęczmieniu to i mowy nima”.

A jeden gospodarz to mówi do mnie tak: — „Panie, jak ktoś dobrze robi, to może kartofli nakopać! Bo ja w ten rok to miałem siedemnaście worków i jeszcze drobnych trochę”.

taż zabić się z taką robotą! Iść do la-su, pokrzywy zbierać, a tam inwentarz kwiczy, chłop na obiad czeka!”

No, ale tak byli przyzwyczajeni. A gospodarzy to nie było tutaj dobrych. Taki na przykład Wróblewski Marcin. Tego ojciec prosto był niedzisz. A syn?! Doszedł do takiego gospodarstwa, że traktor kupił. Gospodarz jest na cale Jagodna, jeszcze lepszy jak ja. Już ja się tam nie będę wiele chwalił, bo on młody jest. A ojciec jego nie dawał rady. Nie umiał. Jednym słowem, że nie umiał. Okropnie biedował.

Jak ja tu przyszedłem, to nie mo-głem pogodzić się z tym, żeby naród tak mógł w jednej tylko izbie mieszkać. I jak się świnia oprosiła wcześniej

za takie mieszkanie. No i już — widzę — zacił fundament, będą się budować.

A tutaj — patrz się pan — ziemni-ki sąsiadzi razem sadzą. Zawsze tak robimy, bo inaczej nie dalibyśmy ra-dy. Czy młocka, czy co, po dwie, trzy rodziny razem się łączą i jeden dru-giemu pomaga.

Z tej sąsiedzkiej pomocy, to ja się bardzo cieszę. W gromadzie — jak to się mówi — i kasza lepiej smakuje. To się pośmiejem, to pobawim... Jak u mnie przy kartoflach...

— „O, soltys, krzyżka, trza dać wi-na”. No to postawiłem na dosadzenie tego wina, popilim, pogadali, pośpiewa-li, no i dobrze.

Żebyś się pan spytał nawet najstar-szego człowieka, czy się kiedy sądził! Tu jeszcze nikt nie miał sądu za mie-dzę, czy za szkodę! Ja na sądzie nie świadczyłem, jak długo sołtysem je-stem.

No, może były sądy o jakiejś tam ali-menty, ale to już nie jest moja sprawa.

Okropnie tę ziemię poluilem. Czyż inaczej chciałbym w tym bagnie tak się męczyć? Ja — można powiedzieć — fachowiec, mogłem gdzieś w mieście pracować. Ale, wie pan, tak lubię tę ziemię! Lubię popatrzeć, jak ona wio-sną, tak gdzieś w maju, mnie rośnie, pachnie... A konie jak lubię. Jakem był w tej Białej Podlasce na dożynkach, to widziałem konie, co tak przez przeskody skaczą. Żebym wtedy miał swe-go kasztana, to bym też tak skakał, bo on umi przez płot przeskoczyć. Dla niego bramy ni ma! Skoczył, poszedł i już. Wiooo, kasztan!

Moje syny już tak nie lubią tej gos-podarki. No ale, wie pan, z tego bagna każdy ucieka. Sklepu nie ma. Chciałby człowiek coś kupić — nie ma gdzie. Pójsz do drugiej wsi po bło-cie — to pan buty pogubi. A w gumow-cach znowuż romantyzm nogi kręci.

Ale ja tam nie lenię się. Jeszcze mam trochę siły, to jeszcze robię w tym polu. A jak już podupadnę, to trudno. Na razie trzymamy się jeszcze, żeby nie podupaść. Do lekarzy nie cho-dzę, bo jeszcze nie ma po co. Jak tam głowa zaboli, to żona przyniesie spiry-tusu trochę, to znów wytrze plecy... I tak żyje się dalej. Nie narzekam. Już mam siedemdziesiąt cztery lata, a syn mój ma dwadzieścia cztery. Ale jak mu co powiem, to złego słowa jeszcze do mnie nie odpowie. Nie śmie! Musi być zrobione jak ja chcę i koniec! Jak mu ojciec trochę przygrozi, tak on się słucha!

Prrrr! stój! Tu już musimy zawra-cać, już koniec naszej dobrej jazdy. Dalej drogę trza dopiero zbudować. Znowuż ludzie mówią, żeby stary sołtys coś zrobił. No i robi się, tylko trzeba mnie pomóc! Wiooo, chłopaczki, wiata!

Zapis z taśmy magnetofonowej

# Szeryf na bagnach

Wacław Biały

Jej, to ja się zdziwił! Siedemnaście worków wykopać? Taż ja dwadzieścia zwykłem wysadzać!

Ale później myślałem sobie tak: łąki są dobre, tylko trzeba umieć z nich wy-gospodarzyć. Las blisko, drzewo jest, opał jest. A chleba można zdobyć, bć zawsze się cosik musi urodzić.

Ej, jak ja zasadził dziesięć ary bu-raków i ja z dziesięciu arów wywio-złem trzydzieści pięć metry?! To już trzeba ciągnąć dalej. Bo jak się udało na kawaleczku, to i na całym hektarze musi!

I patrz pan, sieją ludzie buraki. W zeszłym roku na borowinie gorsze by-ły ponoć buraki, gorsze jak u nas. O, ten tu gospodarz miał ze dwadzieścia pięć arów, a sprzedał przeszło sto me-trów. Dwa tygodnie te buraki wywoził. A przedtem to konkretnie nie rodziło się nic, dopiero jak zaczęli nawozy da-wać. Ja sam z sześćdziesięciu arów pszenicy wzięłem przeszło dwadzieścia pięć metry. Gdy młócił jesienią u mnie jeden taki z Okszowa, to powiedział, że jak długo chodzi — takiej pszenicy jeszcze nie widział. Tak sypał!

Kiedyś, jak wspomnę, nikt nie miał tu luserki. Kobyty chodziły po pokrzy-wy do lasu dla świń. Fójdzie — zmrar-nuje pół dnia. To mówię: — „Kobyty,

wiosną, to trza było do mieszkania brać, bo by zamarzyły. Tu były budynki bardzo liche. A teraz, gdzie by pan nie spojrzal, to już każdy jako tako siedzi. W murowanym. Na czterdzieści trzy numery pozostało tylko trzy, a czterdzieści jest odbudowane już.

Patrz pan! Jedna zagroda nowoczes-na... Przecież nie są złe budynki? Obo-ra, stodoła, wszystko pod ternitem. A tu była chałupka taka stara...

No, ten tutaj spalił się, ten następny. Jeszcze na oborze dachu nie zrobił, bo się biedny spalił.

Tu znów — proszę — nowoczesny dom. Aż się błyszczy. Pan widzi? A tu jeszcze jeden pozostał się taki, co nie daje rady. Czy przez nieudolność, czy przez niechęć może? Czy nie da się przekonać? Ja nie raz jemu mówię: — „Człowieku, tak trza zrobić, tak trza zrobić”. Nie, nie posłucha się. Niezdolny jest. Nie powiem, że leniwy, że zły człowiek, ale nieudolny. I zobacz pan jego budynki... Można mieszkać w ta-kiej oborze?

Oprócz tego budynku nie uswiad-czysz pan tutaj starożytnych mieszkań. Wszystko się pobudowało. A i ten — widzi pan — zalał fundament. Może i on się dźwignie? Bo już tutaj syn podrosł, trochę córka już się wstydzi

## „STUDIA” LUBELSKIE

**U**KAZAŁ się 7 tom „Studiów i Materiałów Lubelskich”, wydawnictwa Muzeum Okręgowego. Ustawiony na półce o-bok wcześniejszych pozycji tej serii, wyróżnia się zdecydowanie i zachęcają-co swoją nową szatą graficzną, autor-stwa Krzysztofa Kurzątkowskiego. Ob-woluta w kolorze pucola, akcentowana stylizowanym wizerunkiem dawnego zamku lubelskiego, zwraca uwagę i pro-wokuje do bliższego kontaktu z publi-kacją. W znacznym stopniu jest to rów-nież zasługa Aleksandra Moskały, który od pewnego czasu kieruje sprawami wydawniczymi Muzeum Okręgowego. Widać, że doświadczony edytor nadal holduje zasadzie, w myśl której sprze-dawanie mądrości też wymaga reklamy, czy inaczej — wymaga reklamy szczególnej. Omawiany tom „Studiów” ukazał się w nakładzie zaledwie 400 egzemplarzy, więc — może ktoś zapytać po co te graficzne ceregiele, skoro tak czy siak publikacja rozejdzie się po lu-dziach? Otóż nie jest to taka prosta sprawa. „Studia” nie trafiają do sieci księgarskiej, lecz są sprzedawane bez-pośrednio w muzeum. Praktyka wyka-

zała, że — jak dotąd — zwiedzający lubelską placówkę „na Zamku” dość rzadko wyciągali owe 50 złotych, po-trzebne do nabycia egzemplarza wy-dawnictwa, które kilka lat temu bito w nakładzie 1000 sztuk. W rezultacie rosły zapasy „Studiów” i niepokój o ich losy. Niewielką pociechę stanowił fakt, że 260 egzemplarzy trafiło do różnych muzeów i innych instytucji kultural-nych w Polsce — były to bowiem gra-tisy. Obniżenie nakładu stało się zatem koniecznością, ale zabieg ten wcale nie rozwiązał kwestii społecznego funkcyj-nowania „Studiów” — że potraktuje rzecz nieco ironicznie. Owszem, „Studia i Materiały Lubelskie” mają charakter specjalistyczny, prezentują problematy-kę z zakresu etnografii, historii sztuki, archeologii, historii, która żywiej intere-suje przede wszystkim znawców przed-miotu. Zdumiewa przecież, że w 300-ty-sięcznym miesiącu dwóch uniwersytetów zaledwie 140 egzemplarzy wydawnictwa może liczyć na nabywcę. Zdumiewa i prowokuje pytanie o przyczyny takiej sytuacji.

W nocie redakcyjnej I numeru „Stu-diów” z 1962 roku przedstawiono cele i uzasadnienie całego przedsięwzięcia. Zamierzano więc prezentować prace „będące wynikiem zarówno działalności pracowników muzealnych, jak i przed-

stawicielei ośrodka uniwersyteckiego, członków lubelskich towarzystw naukowych oraz wszystkich tych, którzy pracują w zakresie regionalizmu lubel-skiego”. I dalej: „Z uwagi na żywą działalność naukową wymienionych wyżej ośrodków ukazanie się takiego wydawnictwa jest jak najbardziej cel-owe i pożyteczne, tym bardziej, że jak dotychczas możliwość druku nauko-wych prac regionalnych była w Lubli-nie znikoma”.

Rychło okazało się jednak, że z ową „żywą działalnością naukową” bywa różnie „studia” produkowane są u nas rzadko, a inwencja badaczy regional-nych wyczerpuje się na „materiałach” (przyczynkarskich), nierzadko zresztą wartościowych. Z zamyśle edytora pu-blikacja miała prezentować i niejako poświadczać dokonania naszych histo-ryków sztuki, dziejopisów, archeolo-gów i ludoznawców, gdy tymczasem w praktyce okazała się niespodziewanie komponentą prawdy niewesołej, tej mianowicie, że w dwudziestu powojen-nych latach wspomniane środowiska nie wydały zbyt wielu dzieł, które zwróci-łyby uwagę opinii naukowej kraju na Lublin. Falce jednej dłoni mogłyby o-kazać się arytmetrem niepotrzebnie skomplikowanym — dla ustalenia licz-by takich prac. Wyjątkowo skromnymi

wynikami mogli chwalić się historycy sztuki: do miana poważnej i rozwijają-cej refleksje naukowej nad tematem książki mogła właściwie pretendować tylko „Zagadnienie, formy w architektu-rze baroku” Piotra Bohdziewicz. Podob-ne przedstawiała się etnografia, która po okresie owocnego rozwoju w latach 1945—1951, związanego przede wszyst-kim z działalnością profesora Józefa Gaj-ka, ujawniała swoją obecność głównie poprzez gromadzenie dokumentów kul-tury ludowej i przyczynkarskie publika-cje w prasie codziennej oraz fachowej. Nie ulega wątpliwości, że w ciągu wie-lu lat żmudnej pracy zebrano materiał imponujący bogaty i wartościowy, ozdabiający dziś kilka muzeów byłego województwa lubelskiego. Nie stał się on jednak podstawą syntez na-ukowych. Również archeologowie nie wy-dali opracowań syntetycznych, mimo licznych badań i odkryć terenowych, relacjonowanych w niemal 200 publi-kacjach.

Do takiego stanu rzeczy w etnografii i archeologii przyczyniły się niewątpli-we permanentne reorganizacje odpo-wiednich katedr uniwersyteckich, pole-gające na cyklicznych ich likwidacjach i reaktywacjach, co rozpraszało kadre naukowe, zmuszając zarazem absolwen-tów tych kierunków do szukania pracy np. na poczcie. Dla historyków sztuki trudno przecież znaleźć rzeczowe u-sprawiedliwienie właściwej im w oma-wianym okresie „spiaączki naukowej”, przerywanej tylko okazjonalnymi arty-kulami i popularnymi publikacjami książkowymi, z reguły przedstawiają-cymi fakty i problemy architektury o-rz malarsztwa czy rzeźby minionych stuleci. Sztuka XX wieku jakby nie in-teresowała tych ludzi.



# PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 50 LATY

Nagrodzona licznymi medalami, ostatnio na wystawie Ruchomej Przemysłu Krajowego dyplomem uznania, fabryka pilników p. H. Frenklera, jest jedyną w swym rodzaju placówką przemysłową na województwo lubelskie, istniejącą od 1896 r. Jakkolwiek praca w innych gałęziach przemysłu metalowego nad jego rozwojem i ulepszeniami technicznymi w szybkim tempie postępuje naprzód, o tyle przemysł pilnikarski pozostaje w tyle. Cały szereg większych i mniejszych warsztatów pracuje sposobem przestarzałym, nie posługując się wcale maszynami pomocniczymi, co przy dzisiejszych warunkach konkurencyjnych sprawia, że produkcja pilników stoi u nas nisko. Fabryka pilników p. H. Frenklera wykonuje przeróbki starych pilników, a dzięki swej mechanicznej produkcji i cięciem w tym kierunku ulepszanemu przoduje innym warsztatami, dając zarazem swarancie dobrego szybkiego i taniego wykonania. [...]

Niejednokrotnie już naruszałimy kwestię niedostatecznej obsługi pocztowej w Lublinie, a w szczególności na przedmieściach. Jedną z najbardziej pod względem obsługi pocztowej uosobionych dzielnic Lublina jest dzielnica Kojelowa, licząca ok. dwadzieścia tysięcy mieszkańców, a która nie posiada swojego urzędu pocztowego. Zwalczając Bvchawska, Piaski i Bronowice są oddalone od poczty o kilka kilometrów. Władze, aby przyjąć z pomocą ludności, należałyby na trafiki uliczne obowiązek utrzymywania znaczków pocztowych, ze sprzedaży których, nawisem mówiąc, nie ma żadnego zysku. Trafikarze jednokrotnie nie chcą lokować kapitału w towarze nieopracowanym i uchylają się od obowiązku trzymania znaczków pocztowych. Toteż ludność całej dzielnicy nabywa znaczki pocztowe aż w kiosku kolejowym. Te anomalie należałoby poprzedzić znieść i w sposób stanowczy przynajmniej właścicielom trafik o obowiązku utrzymania znaczków pocztowych. Acelujemy również do Dyrekcji Pocht. Telegrafów o jak najrychlejsze zrealizowanie sieci pocztowej w Lublinie.

Klub Sportowy „Lublinianka” po pięćdziesięciu latach istnienia likwiduje się. Posta-

howlono to na walnym zgromadzeniu Klubu. Innej drogi wyjścia nie ma. Klub ma około 1 tys. zł długu, a dochodów żadnych. [...] Zarząd Klubu miał jednak nadzieję, że w r. b. wykończy stadion, który miał przynieść duże zyski. Firma „Ulen” obiecywała podjąć się sfinansowania urządzenia stadionu. Tymczasem nadzieje zawiodły. „Ulen” nie chciał angażować swoich kapitałów. Stadion pozostał dotychczas nieskończony. Klub w perspektywie miał przywrócić, nie wspierany ani przez członków, którzy według sprawozdania mecenasa Kuczwskiego nie płacili składek, ani przez społeczeństwo niedoceniające znaczenia sportu. [...] I tak Klub Sportowy „Lublinianka” dzięki obywatelności naszego społeczeństwa przestał istnieć.

Jak się dowiadujemy ze sfer miarodajnych, sprawa liczników telefonicznych, która wywołała tak wielkie zainteresowanie w Warszawie i Lublinie, nie przedkłada się u nas aktualna. Według bowiem ustawy, liczniki wprowadzone być mogą tam tylko, gdzie liczba abonentów przekracza 5000. W Lublinie dotychczas abonentów jest 1000, a przybywających rocznie maksimum 300. O ile więc wspomniana ustawa nie będzie cofnięta lub zmieniona, Lublin nieprędko zobaczy się z licznikami.

Głos Lubelski

We czwartek 19 maja oczekuje Lublin nie lada sensacja. Zjeżdżają artyści operetki krakowskiej z najnowszą operetką R. Benalskiego „Adieu Mimi”, która wywoływała zachwyty i oklaski w Wiedniu, Krakowie, ostatnio w Warszawie. Jest to jedna z najwspanialszych operetek doby obecnej. Krakowska operetka „Nowości” pod dyr. T. Polarskiego (seniora) ma ustaloną opinię jako teatr naprawdę pierwszorzędny.

Jeden z naszych współpracowników, chcąc w czwartek wieczór udać się ze śródmieścia w kierunku ulicy Foksalnej, powziął nieszczęśliwy pomysł pojechać autobusem. Ufny w to, że autobus kursujący co kwadrans, stanął cierpliwie przed hotelem „Victoria”. Uplynął kwadrans. Przejechał jeden autobus w kierunku ogrodu. Uplynęło 20 i 30 minut: w kierunku ogrodu pojechały 2 autobusy wreszcie po 45 minutach oczekiwania poszedł pieszo. Komunikacja autobusowa? Nie, przedziwne balagan autobusowy! Kierownictwo lubelskie komunikacji po winno pamiętać o tym, że przyjeżdża na siebie pawnych zadań zobowiązuje. Nie można sobie lekceważyć publiczności, z której się czerpie zyski i to niemałe!

Dowiadujemy się, że p. Minister Moczarski podpisał koncesję dla m. Lublina na budowę i eksploatację elektrowni miejskiej. Elektrownia miejska, jako źródło dochodowe dla miasta, powinna stać się „złotym jabłkiem”. O koncesję te walczyło od kilku lat amerykańskie towarzystwo — starając się o elektryfikację Polski. [...] Towarzystwo to jako jeden z warunków stawiało otrzymanie koncesji i na miasto Lublin. Jeśli przyszła Rada Miejska dostanie się w ręce ludzi praktycznych, uczciwych i gospodarnych, elektrownia może być źródłem dobrych dochodów, co da miastu możliwość wybrnięcia z długów.

„Ziemia Lubelska”

Wybrała: Anna Orzechowska

Większość tych uwag do dziś nie straciła aktualności. Pewnej korekty wymaga tylko ocena działalności historyków sztuki, którzy od końca lat sześćdziesiątych demonstrują aktywność. Ale: sygnują ją stale te same osoby, może cztery, nie więcej, co oczywiście o niczym jeszcze nie świadczyłyby — daj nam boże czterech Tarkiewiczów czy Białostockich — gdyby nie fakt, że dwie z nich pracują głównie w dziedzinie przyczynków i popularyzacji. Kreśląc tę, śmieszna nieco, statystykę mam na uwadze tylko autorów publikacji, jako że tę właśnie formę wypowiedzi uważam za szczególnie ważną dla rozwoju refleksji naukowej. Co oczywiście nie znaczy, że nie doceniam może mniej efektywnej, ale bardzo pożytecznej działalności archeologów czy historyków sztuki (np. z Biura Dokumentacji Zabytków), a także tego, czego w trudnych warunkach dokonał pracownicy Muzeum Wsi Lubelskiej, placówki rozwijającej się wyjątkowo dynamicznie.

Mógłby ktoś zapytać, co to wszystko ma wspólnego ze „Studiami i Materiałami Lubelskimi”, które z natury rzeczy nacełowane są na prezentację artykułów przyczynkarskich i rozpraw — sformalizowanych problematykę rozważań własnie przez różnych autorów? A takie właśnie teksty ukazywały się przecież w wydawnictwie, ba, znajdziemy w nim kilka wartościowych opracowań monograficznych. Tak...

Zwrócimy jednak uwagę, jak nierówny poziom i niejednolity profil reprezentują „Studia”. Po przejrzeniu siedmiu tomów dochodzimy do wniosku, że albo redakcja ciele miała kłopoty z wyszukaniem odpowiednich materiałów od autorów ze środowiska lubelskiego, albo też sama nie bardzo zdawała sobie sprawę, co takiego chce utrwalać dru-

kiem. Przypuszczalnie oba te spostrzeżenia nie są pozbawione trafności. A jeśli jest inaczej, to dlaczego na początku zaczęto publikować tomy specjalistyczne („Etnografia” 1962, 1967 oraz „Historia Sztuki” 1963), a w późniejszych rocznikach oferowano wszystko (czyli to, co było pod ręką)?! Dlaczego dwa tomy poświęcono etnografii? Dlaczego „Studia” ukazywały się tak nieregularnie, a między rocznikami 1963 i 1967 widnieje czteroletnia luka?

Wypada się zastrzec: nie ironizuję, nie wytykam. Wydawanie czasopisma naukowego nie jest sprawą prostą, tym bardziej jeśli potencjał środowiska powiększa się powoli, pracownicy samego Muzeum Okręgowego publikują skromnie, a o trudnościach z papierem i drukarnią wszyscy wiedzą. Ale „Studia” ukazują się od 1962 roku, długo, więc pora chyba prześwietlić je, zbilansować dotychczasowe dokonania, postawić jakieś wnioski. Pierwszy, który dotyczyłby oprawy graficznej, został już spełniony: siódmy tom „Studiów” zachęca czytelnika do kontaktu z wydawnictwem. Należałoby też poszerzyć krąg współpracowników i tematykę. W ostatnim roczniku znajdujemy skromną zapowiedź innego podejścia do sprawy: „Listy do żony” Jana Wdru, interesującego malarza z lat międzywojennych, członka Bractwa św. Łukasza — poprzedzone wstępem biograficznym autorstwa J. Seredyńskiej i artykułem, który po śmierci J. Wdru opublikował Jan Kowalski (czyli Józef Czechowicz) w nr 104 „Ekspresu Lubelskiego i Wołyńskiego” z 1967 roku. Ale połowę publikacji tego tomu znów poświęcono kulturze ludowej: widać, że nowy redaktor chyba nie miał jeszcze wotywu na zawartość 7 numeru „Studiów”.

IJK

## POLACY NA FRONTACH ZACHODNICH

UKAZAŁA się kolejna pozycja traktująca o walce wyzwoleniczej narodu polskiego w drugiej wojnie światowej. Mjr dypl. Wincenty Iwanowski podjął uwieczniony powodzeniem trud przedstawienia zbrojnego wkładu polskich żołnierzy w walkach na froncie zachodnim. Jest to pierwsza praca ujmująca to zagadnienie w sposób całościowy, chociaż ma charakter selektywny.

Przedstawiony przez W. Iwanowskiego wysiłek zbrojny Polaków u boku aliantów zachodnich jest tylko częścią ogólnego wkładu Polski w walkę z hitleryzmem (wiosną 1945 r. w bezpośredniej walce na Zachodzie zaangażowanych było ok. 100 tys. żołnierzy). Nie był on daremny, mimo że wykonywany setki kilometrów od granic ojczyzny. Wnieśli Polacy rzetelny wkład zbrojny i danię krwi żołnierskiej, wypełniając z honorem i poświęceniem patriotycznym i sojusznicy obowiązek niezależnie od politycznych celów rządu emigracyjnego, które masom żołnierskim często były obce i niezrozumiałe.

Praca ma przejrzysty, rzeczowo-chronologiczny układ. W części pierwszej (10 rozdziałów) omówiono tworzenie się i trudną sytuację rządu polskiego we Francji, a następnie w Anglii, oraz formowanie, organizację, skład i stan liczbowy lądowych, morskich i powietrznych Polskich Sił Zbrojnych, w tym również Armii Polskiej w ZSRR i na Bliskim Wschodzie. W drugiej części (12 rozdziałów) przedstawiono wojskowy wysiłek bojowy regularnych jednostek polskich w Norwegii, Francji, Anglii, we Włoszech oraz na szlaku bojowym od Caen do Wilhelmshaven.

Omawiając proces formowania się rządu i wojska polskiego we Francji na przełomie 1939/40 r., W. Iwanowski wypunktował ogromny wysiłek i trudności na jakie napotykali Polacy, dla których kampania wrześniowa nie oznaczała końca walki, uważając za naturalne i oczywiste jej kontynuowanie u boku, jak sądzono, silnego sojusznika. Takie same mniemanie mieli o sobie Francuzi, nie uwzględniający doświadczenia bojowego Polaków wyniesionego z wojny. Stąd też zabieg polskich wyższych oficerów mające na celu sformowanie jednostek pancernych i zmotoryzowanych rozbił się o negatywne stanowisko władz francuskich. Trudności do końca nie zostały usunięte, w rezultacie czego agresja Niemiec na Francję zastała niedoszkolonych (jak podaje gen. Maczek drewnianymi pałkami zastępowano na ćwiczeniach karabiny), niedozbrojonych, wysyłanych ultimatywnymi rozkazami na najtrudniejsze odcinki — do osłony wycofujących się z pola bitwy oddziałów francuskich.

Rezultat — 70 proc. strat. Nie bez winy — jak słusznie podkreśla Iwanowski — jest rzad i sztab gen. Sikorskiego, który nie brał pod uwagę pobicia Francji, a ewakuację do Anglii organizował chaotycznie, w ostatniej chwili.

Z zachowaniem właściwych proporcji poruszył autor m. in. w cz. I dwa zagadnienia traktowane raczej sporadycznie w dotychczasowych publikacjach. Myślę o oddziale kobiet-żołnierzy w ramach oddziałów Pomocniczej Wojskowej Służby Kobiet i o losach zasobów złota Banku

Polskiego. Zupełnie marginalnie natomiast wspomniano o oddziałach żołnierzy polskich szkolonych do zadań specjalnych, których przerzucano drogą lotniczą do okupowanego kraju, początkowo z Wielkiej Brytanii, a następnie z Włoch. Nazywano ich „cichociemnymi”, a stanowili polską sekcję brytyjskiego Zarządu Operacji Specjalnych (SOE). Akcją rekrutującą, szkoleniową i przerzutową kierował Oddział VI Sztabu Naczelnego Wodza. Spośród ok. 2500 zwerbowanych oficerów i podoficerów przerzucono w latach 1941—1944 do Polski — 344, do Francji — 28, do Grecji, Jugosławii, Albanii i Włoch — 16.

Czytelnika zainteresuje ciekawy opis bitwy powietrznej o Wielką Brytanię i walki 2 Korpusu Polskiego w kampanii włoskiej. Temu zagadnieniu poświęcił Iwanowski najwięcej miejsca. Bitwa o Monte Cassino była najgłośniejszą z bitew ze względu na długotrwałość, trudny teren walki i duże straty. Ale miała bardziej znaczenie prestiżowe niż strategiczne. Trzeba jednak pamiętać, że walki na Półwyspie Apenińskim spełniały nieprzewidywaną rolę, bo wiązały 24 doborowe dywizje niemieckie przed inwazją we Francji.

Bardziej ogólnie przedstawił autor walki Polaków po utworzeniu 6 VI 1944 r. drugiego frontu w Normandii, nie schodząc w zasadzie w opisach poniżej szczebla dywizji. A przecież walki i Dwiżij Pancernej pod Falaise i Chambois były uwiecznione szczególnie pięknym efektem bojowym. To ona właśnie zamknęła drogę 7 armii niemieckiej gen. Haussera, walczącej w bardzo ciężkich warunkach obrony okrzęnej. Niewątpliwie jej walki zakończone w niemieckim porcie Wilhelmshaven, przyczyniły się do przyspieszenia zakończenia działań wojennych.

Praca nie pomija również udziału w walkach w 1944 r. we Francji Zgrupowania Piechoty Polskiej przy francuskiej 1 armii, utworzonego przez lewicowy nurt polskiego ruchu robotniczego w tym kraju. Warto dodać, że formacja ta, licząca 2782 żołnierzy, powstała z oddziałów Polskiej Milicji Patriotycznej i polskich oddziałów wchodzących w skład konspiracyjnej organizacji wojskowej pod nazwą Wolni Strzelcy i Partyzanci Francuscy. Zgrupowanie, podporządkowane PKWN zgodnie z podpisanym w styczniu 1945 r. porozumieniem powróciło do kraju z uzbrojeniem.

W sumie stwierdzić należy, że autor wykonał rzetelną i pionierską pracę, przekazując czytelnikowi książkę utrwalającą w pamięci wkład naszego narodu w dzieło ostatecznego rozgromienia hitlerowskiego najeźdźcy. Należy się również podziękowanie Wydawnictwu MON. Chociaż czytelnicy, którzy ostatnio zaczęli się przyzwyczajać do pięknych wydawnictw np. o Ludowym WP, armii „Kraków” czy armii „Łódź”, wbiły na pewno bardziej usatysfakcjonowani staranniejszą obwołutą i adekwatną do treści ilością i jakością mapek, bo treść zasługuje na to.

Ryszard Nowosad

\*) Wincenty Iwanowski, Z dzieł formacji polskich na Zachodzie 1939—1945. Wydawnictwo MON, s. 466, cena 60 zł.

## Jacy są Szwajcarzy?

Dokończenie ze str. 9

że partykularyzm obyczajowy poszczególnych kantonów jest daleko posuniętu i że w końcu obok ugrupowań skrajnie lewicowych (grup maoistowskich, lewackich i anarchistycznych), silnego centrum działają też ugrupowania skrajnie prawicowe. W tych warunkach szukanie odpowiedzi na postawione w tytule pytanie nie jest proste.

Myślę, że nasze narody, abstrakcyjnie rzecz biorąc, wzajemnie się uzupełniają. Tego, czego Polacy mają w obfitości (gościnność, gest, hojność, bezinteresowność, romantyzm) brakuje

często Szwajcarom; z kolei oni mają bardzo dużo tego, czego u nas jest za mało (rzetelność stosunku do pracy, kultury, organizacji i mądrej dyscypliny pracy oraz kultury spożywania alkoholu). Czy drogą wzajemnego poznawania się, wymiany naukowej, handlowej, turystycznej i kulturalnej nie można przyczynić się do wyrównania bilansu w dziedzinie tych dóbr, które mają wartość niematerialną i materialną zarazem?

Andrzej Wąsek

Kamena str. 13



# Kultura 1977

## FILM

■ Po kilku latach istnienia ma się ku końcowi telewizyjna Filmowa Akademia, która pokazała już 80 wybitnych filmów. Co dalej? Od października będzie nadawana kina Akademia Filmowa. W części będą to te same filmy, jednak z większym naciskiem na filmy z okresu niemieckiego. Całość ma usystematyzować wiedzę o filmie u tych, którzy interesują się tym dziedziną sztuki. Filmy będą nadawane co tydzień, natomiast raz w miesiącu wykłady towarzyszące, omawiające estetyczne i treściowe walory filmu oraz sylwetki wybitnych twórców i aktorów. Jeżeli rzecz będzie prowadzona ciekawie, a powtórki niezbyt liczne, film może zyskać nowe rzesze wyrobionych widzów.

■ Mija właśnie 30 lat istnienia polskiego filmu animowanego. W 1947 roku powstało w Łodzi Studio Małych Form Filmowych „Sema-For”, którego twórcami byli Ryszard Potocki i Zenon Wasilewski. Pierwszym filmem animowanym był lalkowy „Za kroia Krakusa” Z. Wasilewskiego. Od tego czasu placówka łódzka wyprodukowała 600 filmów w różnych technikach — lalkowych, rysunkowych, wycinankowych, kombinowanych (z udziałem aktorów) i innych. Na festiwalach krajowych i zagranicznych zdobyły one 170 nagród i wyróżnień. Większość produkcji była adresowana do dzieci, ale niektóre także do dorosłych.

■ Za 12 dni pracy w Londynie przy nakręcaniu „The father of Superman” Marlon Brando otrzymał honorarium w wysokości 4,5 mln dolarów. Jak twierdzi, dzięki tej sumie będzie mógł rozpocząć pracę nad seriałem telewizyjnym o historii Murzynów amerykańskich. Film jednak będzie kosztował 17

milionów, resztę Brando chce zdobyć drogą dotacji bogatych Brytyjczyków. Serial ma być eposem, obrazującym wypędzenie Indian z ich ziem rodzinnych przez białych przybyszów. Ponieważ wszyscy mają pracować honorowo, cały dochód zostanie przeznaczony na fundusz ludności indyjskiej. Scenariusz będzie oparty na książce „Korzenie”, o której perypetiach piszemy w dziale „Literatura”.

## LITERATURA

■ Liczącym się wyróżnieniem dla pisarzy jest nagroda Literacka Centralnej Rady Związków Zawodowych. Przyznawana jest za twórczość o tematyce współczesnej, ukazującą problemy i konflikty związane z pracą i stosunkami między ludźmi różnych pokoleń i warstw społecznych. Otrzymał ją łódzki dziennikarz radiowy Wacław Bilinski oraz wiceprezes Oddziału ZLP w Gdansk Andrzej Twardochlib. Pierwszy za powieść „Wypadek”, drugi za „Trzecią rundę”. Twardochlib jest także autorem wielu słuchowisk radiowych i scenariuszy filmowych (np. „Znaki szczególne”).

■ Wśród pisarzy, podpisujących książki na warszawskim kiermaszu, był również — już po raz drugi — Jurij Bondariew. Wkrótce na naszych półkach księgarskich ukazuje się jego powieść „Brzeg”, wydana w ZSRR przed dwoma laty, według której autor opracował ostatnio scenariusz filmowy. Obecnie Bondariew pisze powieść o współczesnej inteligencji, o której powiedział, że sam jeszcze nie wie, co z niej wynika.

■ W dniach 7-14 czerwca odbędzie się w Sofii światowe forum pisarzy, na które zapowiedziano przyjazd 200 twórców z kilkudziesięciu krajów. Podstawowym te-

matem spotkania będą problemy pokoju. Pisarze mogą wpływać na przekonania ludzi nie tylko swymi dziełami, ale także przez radio, telewizję, prasę. Chodzi o to, aby mieć do spraw pokoju nie tylko osobiste pozytywne stosunek, ale by temu dawał wyraz publiczny.

■ Pisałamy już, że jednym z bestsellerów amerykańskich w ub. roku była książka Alexa Healeya „Korzenie” — o pradziach amerykańskich Murzynów. I oto sensacja. Kierowniczka katedry kultury murzynskiej na uniwersytecie w Jackson oskarżyła autora, że książka zawiera cytaty i wstępy „skopiowane” z jej powieści „Jubileusz”, napisanej w roku 1968. O plagiat oskarża go również Harold Courlander, autor powieści „Afrkanin”, napisanej w roku 1977. Healey zaprzecza, twierdząc m. in., że wymienionych książek nigdy nie czytał. Sprawa znalazła się w sądzie federalnym.

## MUZYKA

■ W czeskim Gottwaldowie odbył się IV międzynarodowy festiwal muzyki rozrywkowej „Inter-talent 77”. Główną nagrodę zdobył piosenkarz radziecki Jewgienij Gołowski, natomiast trzecią prawie nieznana u nas młoda piosenkarka polska Lidia Filipowiczówna. Czyżby nowy talent i to odkryty przez obcych?

■ ZW ZSPM w Olsztynie utworzył Wojewódzki Klub Muzyczny, pierwszą tego rodzaju placówkę w kraju. Będzie ten klub pełnił funkcję koordynatora różnych inicjatyw muzycznych w województwie, organizował warsztaty muzyczne, a także udostępniał ich uczestnikom materiały popularyzatorskie, śpiewniki, taśmy z nagraniami itp. Można przypuszczać, że przyczyni się to do popularyzowania rzeczywiście dobrej muzyki, a nie tylko tzw. szlagerów i przebojów.

■ 33 koncerty dał w Paryżu zespół baletowy moskiewskiego Teatru Wielkiego. Na zakończenie wystawiono „Spartakusa” — zajęte były wszystkie miejsca, przejęcia, nawet schodki prowadzące na scenę, a jeszcze wielu chętnych nie mogło się dostać. Recenzent katolickiego „Le Croix” napisał m. in.: „Artyści Teatru Wielkiego to prawdziwi spadkobiercy wielkiej rosyjskiej szkoły tańca, mogący

zadowolić najwybredniejszych odbiorców”.

■ Wygląda na to, że nowy dyrektor moskiewskiego La Scala, Paolo Grassi, chce zrobić z tego przybytku sztuki nie światynię dla bogaczy, ale scenę popularną, dostępną dla szerokiej mas. Wystawia też coraz więcej baletów kosztownych oper. Ostatnio wystawiono m. in. „Kopciuszek” według Prokofiewa w bajkowej scenarii i widzi miał wrażenie, że ogląda kolejne strony popularnej opowieści. Niektórzy krytycy twierdzą, że po raz pierwszy w sztuce baletowej pojawiły się elementy science-fiction.

## OPINIE

■ „Niekiedy podejrzewam, że u źródła mego pisarstwa tkwi pokusa, by poprzez ukazywanie sprzeczności myślowych, które wzbudzają piekącą potrzebę usunięcia ich — uporządkować mój coraz pojmniejszy świat, a przynajmniej obrysować w nim to, co nie poddaje się całkowitej racjonalizacji. Kiedy przypominam sobie raczej, dia których kukańskie lat temu, jako licealista, zacząłem pisać, przypływają mi teraz na myśl, iż biedem byłoby twierdzenie, że chodziło mi przede wszystkim o literaturę. O ileż ważniejsze były nekające mnie wówczas pytania o sens życia i jego cenę, o ludzkie wartości i ich wybór”. (Erwin Kruk, „Kultura” nr 20).

■ „Oglądając w telewizji programy poświęcone kulturze, odnosi się wrażenie, że kwitnie ona tylko w oazach, reszta kraju zaś to pustynia. Największą oazą jest Warszawa, dalej Kraków, Poznań, Wrocław, Katowice, Gdańsk... I to walczyło wszystko”. (Marek A. Kowalski, „Tygodnik Kulturalny” nr 20).

■ „Oglądałem kabaret działający w dzielnicowym domu kultury nauczycieli. Nauczyciele go prowadzą i nauczyciele — razem z uczniami — w nim występują. Już pomijam spełnienie — bo jak ktoś ma pyć na języku, to trudno wymagać od niego kryształowej artykulacji — ale te dzikie przetyki akcentowe w rodzaju gdy-BYście, zamiast GDYBYście, chcieliście zamiast CHCIELIście, ta hiperpoprawna wymowa e i a (które w języku mówionym pojawiają się zupełnie wyjątkowo), a na dodatek błędy grammatyczne w rodza-

ju: „Jeszcze przed wojną...” „Czasem były programy...” „Jaka — „Razem” nr 20).

## PLASTYKA

■ Taką galerię rzeźby, jaką kiedyś realizował elbiński „Zamek”, zaczęła realizować łódzka fabryka transformatorów „Eita”. Dwie pierwsze rzeźby stanęły przy ul. Aleksandrowskiej, wyłożonej w kierunku do Poznania, tuż przed fabryką. Wykonali je z bezużytecznych już kawałków blach pracownicy fabryki według projektów łódzkiego plastyka — Kazimierza Karpinińskiego i Jana Grodzkiego. Jedna ma 3 m wysokości druga 2 m, obie razem ważą 3 tony.

■ W Warszawie wystawiono prace sześciu malarzy hiszpańskich, prezentujących awangardowe kierunki. Autorzy współpracują stale z barcelońską Galeria Studio, która kieruje mieszającą tam stałą Polka Bożena Lorkowska-Burzała. Krytyk hiszpański Josep Valles Rowira, który przybył na otwarcie tej wystawy, powiedział, że w Hiszpanii żadna instytucja, żadne stowarzyszenie nie zajmuje się upowszechnianiem sztuki. Zabiega ją tylko o to sami twórcy, ale zajęci tworzeniem, osiągnęli tu dość mizerne rezultaty.

## TEATR

■ Teatr im. Aleksandra Węgierki w Białymstoku wystawił sztukę Edwarda Redińskiego „Czurokat”. Nie jest to jednak nowa sztuka a nowa wersja granego w zeszłym sezonie w Szczecinie „Jubileuszu”, który spotkał się z dość ciepłymi uwagami recenzentów. Autor, co zdarza się bardzo rzadko, widocznie uznał słusność rzutu i stąd nowa wersja. Czy lepsza — trudno osądzić na odległość, zobaczymy co napiszą inni.

■ Moskiewski Teatr im. Wachtangowa wystawił nową sztukę słynnego dramaturga radzieckiego, 68-letniego Aleksieja Arbużowa, pt. „Oczekiwanie”. Akcja rozgrywa się współcześnie w ZSRR i we Włoszech. W 23 rocznicę zakończenia wojny spotykają się różni ludzie, m. in. Włoch i Rosjanin, którzy poznali się w obozie koncentracyjnym. Wszyscy próbują znaleźć odpowiedź na pytanie: jak przetrzyli lata pokój, czy nie zdradzili ideałów i pamięci tych, którzy zginęli w walce z faszyzmem.

# Ekran i widz

## „Ostatni pociąg z Gun Hill”

NIEDAWNO oglądaliśmy „Konie Valdeza”, włosko-hiszpańsko-francuski spaghetti-western, film bardzo mierny, o którym może nie warto by było nawet wspominać, gdyby nie nazwisko reżysera, Johna Sturgesa, twórcy „Śledztwa wspaniałych”, „Czarnego dnia w Black Rock” i „Ostatniego pociągu z Gun Hill” — właśnie wyświetlanego na naszych ekranach.

„Ostatni pociąg z Gun Hill” jest natomiast jednym z najciekawszych filmów Sturgesa, wchodzący wprawdzie na polskie ekrany po osiemnastu latach od dnia premiery, ale właśnie dlatego tym bardziej interesującym, że wprowadza nas w klimat okresu, w którym w tonie westernu następował rozłam, rodził się „western psychologiczny”, „antywestern”, a dotychczasowym, klasycznym opowieściom o kowbojach, szlachetnych szeryfach i podłych „czarnych charakterach” groziło odejście do lamusa. Triumf święcił wciąż film Freda Zinnemanna „W samo południe” z Gary Cooperem i późniejszą książką Monaca, Grace Kelly w głównych rolach, film, w którym opusz-

czony przez wszystkich, targany wewnętrznymi rozterkami szeryf ma zmierzyć się z polującymi na niego bandytami. Stawia im czoła nie tyle w obronie prawa, co w swojej własnej, a kiedy wymaga tego sytuacja, strzela nawet przeciwnikowi w plecy! Zwolennik antywesternu, Delmer Daves, nakręcił rów-

publicznego było bardzo problematyczne: to sam złoczyńca oddawał się w końcu w ręce sprawiedliwości i nie wiadomo właściwie było, czy robi to powodowany tylko skrupałą, czy też swobodną fantazją. W obydwóch filmach punktem kulminacyjnym było przybycie lub odjazd pociągu.



Na pierwszym planie: Anthony Quinn jako Craig Belden

nie głośny: „15.10 do Yumy” — opowieść o groźnym bandycie, którego raczej moralnie nie zawsze dawaliśmy przebiegającym moralnymi reprezentowanymi przez szeryfa, a zwycięstwo stróża porządku

W „Ostatnim pociągu z Gun Hill” sytuacja jest podobna. Oto szeryf, który ujął przestępcę, otoczony przez czujących na jego życie ludzi, musi wywieźć wieczornym pociągiem aresztowanego z

miasteczka, aby postawić go przed sądem. Samotny, szlachetny, niezlomny i wspaniały, wprowadzi swój zamiar w czyn, chociaż ma przeciw sobie prawie całą miejscową społeczność. I tutaj właśnie tkwi dowód na to, że film Sturgesa nie był „naśladowaniem” westernów Zinnemanna czy Davesa, ale jakby wyzwaniami rzuconym obu reżyserom przez twórcę opowiadającego się po stronie tradycji, ucznia Johna Forda. Wykazać na podobnej kanwie sytuacyjnej wyższość tradycyjnego westernu; podnosząc rozgrywaną w klasyczny sposób partię do granic doskonałości — oto co musiało przyswiliwać Sturgesowi w tworzeniu „Ostatniego pociągu z Gun Hill”. Może dlatego jego dzieło jest zbyt czyste, zbyt klarowne, a przez to także momentami zbyt chłodne. Musiał też Sturges wyposażyć swój film w coś więcej niż to dotychczas uwielbiany klasyczny western; wprowadził jako leitmotiv problem rasowy; zgwałcona, a następnie zamordowana przez „porządne chłopca”, żona szeryfa, jest Indianką. Czy szlachetny szeryf z równą zaciekłością tropiłby przestępcę, gdyby ofiara była tylko „zwykłą” Indianką? Czy można obojętnie przechodzić nad krzywdą, która spotkała „tylko” Indianiną? Stawiając takie i inne pytania, Sturges chwilami nieswiadomie staje po stronie swoich przeciwników...

Doskonałe kreacje aktorskie Kirka Douglasa i Anthony Quinna przydają blasku temu filmowi, który jednakże nie zachował tak doskonałej młodości i świeżości jak to nam stara się sugerować reklama kinowa, ale który na pewno wart jest obejrzenia.

(md)

„Ostatni pociąg z Gun Hill”. Film prod. USA, 1959 r. Reż.: John Sturges. Zdjęcia: Charles Lang jr. Muzyka: Dimitri Tiomkin. Wykonawcy: Kirk Douglas (Matt Morgan), Anthony Quinn (Craig Belden), Carolyn Jones (Linda), Earl Holliman (Rik Belden) i inni.

# Nowy i notki

Przed budynkiem poczty głównej w Lublinie stoi rząd skrzynek pocztowych, w tym pięć, które rzekomo gwarantują ekspresowe wysłanie korespondencji, jeżeli wrzuci się ją do godziny 18. Wynika z tego, że na ową ekspresową wysyłkę poczta zastrzega sobie sześć godzin, bo tyle minie do północy. Mało tego. Z napisu na sąsiedniej, czerwonej skrzynce wynika, że korespondencji z niej nie wyjmują się od godziny 19 do go-

dziny 3 rano — a więc przez 13 godzin. I to prawda. List ekspresowy, który do tej skrzynki wrzucisz 15 maja o godzinie 18.30, dojdzie do odbiorcy w centrum Warszawy we wtorek o godz. 19. Wynika z tego, że szybkość ekspresowa z Lublina do Warszawy wynosi 4 km na godzinę, co nawet dla piechura nie jest zbyt męczące. A mówiono i pisano, że to jeden z najnowocześniejszych urzędów pocztowych w kraju.

„Trybuna Ludu” w nr 114 skrytykowała ostro PKP za ciągłe opóźnianie pociągów pasażerskich. Było w tym artykule („Rozkład jazdy nie może być fikcją”) kilka konkretnych danych np. że zaledwie 60 proc. pociągów dalekobieżnych w roku ub. jeździło regularnie. Ale jest i taka informacja: „Opóźnienia pociągów pasażerskich w ub. r. przekroczyły wiele milionów minut”.

Zdradzę niektórym panom jeszcze jeden, rzeczywiste radykalny sposób na schudnięcie. Otóż pewna Francuzka, panna Chantal Langace, w ciągu 2 godzin, 35 minut i 14 sekund straciła na wadze równo trzy kilogramy. W jaki sposób? Otóż na zawodach lekkoatletycznych w San Sebastian przebiegła w tym właśnie czasie 42 km i 193 m.

Dodam, że panna Chantal waży normalnie 46 kg. Ile mogą w ten sam sposób schudnąć panie, wazące np. 85?

W sądach pracy nazwiska dyrektorów pojawiają się dość często, gdy pracownicy odwołują się od podpisanej przez nich decyzji o zwolnieniu z pracy. Odnajmy fakt inny: do sądu pracy w Warszawie trafiła skarga Zbigniewa Pawlińskiego, którego Pagart zwolnił bez okresu wypowiedzenia ze stanowiska dyrektora Krajowego Biura Koncertowego. Dyrektor sprawę wygrał, Pagart musiał zapłacić zaległe pobory wraz z odsetkami i zgodzić się na ponowne zajęcie przez niego poprzedniego stanowiska. Najdziwniejsze, iż dyrektor Pagarta w liście do „Polityki” w pełni podtrzymał swoje zarzuty, które sądy pracy całkowicie oddalił.

Dystyngowany miesięcznik „Poznański „Nurt” ma kilka stałych działów, jak każde szanujące się pismo. M. in. dział muzyczny i recenzji książek. W nr 5 ukazały się recenzje dziesięciu książek — w tym tylko trzy autorów polskich. Jeszcze gorzej w dziale muzycznym: na osmiu zapłachach nonparem omawia się różnych wykonawców i różne płyty — ale ani jednego polskiego wykonawcy, ani jednej wydanej w Polsce

płyty. Sprawdziłem na mapie — Poznań jednak leży w Polsce.

Marcin Rodak w łódzkich „Ogłoszeniach” (nr 20) zapytuje dużym tytułem: „Milion, ile to jest?”. Mogłbym odpowiedzieć, że to tysiąc tysięcy. Autor jednak twierdzi w tekście, że „jest to suma pieniędzy, którą nikt nie potrafił sobie wyobrazić”. No, nie przesadzajmy, może trudno tym, którzy jeszcze nie zdążyli nauczyć się gramatyki.

Mało naszych pism podaje wysokość nakładu każdego numeru. U jednych wyglądało by to na samochwiałstwo, u innych wywoływało zażenowanie. „Gazeta Prawnicza” nie ma na ten temat żadnych obiekcji. W nr 19 podaje dokładnie: nakład 40 992 egzemplarzy. Ciekawe, dla kogo są przeznaczone owe dwa ostatnie.

Tego jeszcze nie było: bruderszaft na oczach milionów. Tego wycygnił dokonał nie jadący w Wycygnił Pokoju (z powodu kontuzji) Stanisław Szonda, proponując bruderszaft redaktorowi telewizyjnej Hopterowi. Obaj zainteresowani przed kamerą nie wypili nawet coca-cola.

JOD



**P**RAWDA, o Bieczu niełatwo pisać. Niemal każdy budynek, każda ulica jest zabytkiem. Chodząc po mieście ma się wrażenie, iż zmęczony czas tutaj właśnie ułożył się do snu. Nieodparte jest jednak uczucie, że czas zasnął nie tylko dla budowli, ale także dla istotnych spraw Biecza.

Inne zdanie na ten temat ma Zofia Dubiewicz, autorka artykułu o Bieczu pt. „Szkoty katów tu nie było...” (Kamena nr 1). Po przeczytaniu tego artykułu pozostaje sielankowy obraz miasteczka — wzoru, prawie niedoścignionego. Dowodzi to jednak, iż autorka Biecza nie zna. Przynajmniej nie te miejsca miasteczka, gdzie turysta może trafić, a dziennikarz powinien.

Kiedy wjeżdża się do miasta od strony Jasła, zza pagórka wylania się skromna wieża i mury klasztoru oo. franciszkanów reformatów. Furta w jego murach stoi zawsze otworem. Dziedziniec otaczają kapliczki — ołtarzyki, przylegające do muru zewnętrznego, wyglądające jak domki puśtelników. Wewnątrz każdej jest malowidło olejne (XVIII w.), przedstawiające kolejne stacje drogi krzyżowej. Większość z nich jest jednak nieczytelna, gdyż są uszkodzone przez wilgoć, błoto lub... po prostu pocięte nożem. Nie są to dzieła najwyższego lotu, ale na opiekę konserwatora zasługują. Ten sam los dzieła zresztą malowidła znajdujące się w korytarzach budynku klasztorowego (XVII i XVIII w.). Piwnice, prawdopodobnie pozosta-



— Nie weźmie mnie pan na krzyki  
Rys. L. Szalecki

łość zamku kasztelańskiego stojącego w tym miejscu do XV w., też są w opłakanym stanie. Nie zdziwiłbym się, gdyby się zawaliły. Niepokojący jest też stan instalacji elektrycznej. W ostatnich latach większość pożarów w obiektach zabytkowych była spowodowana tym właśnie niedopatrzaniem. Z zakrytymi do skarbca prowadzą stare, pięknie kute żelazne drzwi z ok. XVI w. Pochodzą prawdopodobnie z dawnego zamku kasztelańskiego. Wykute są na nich orły polskie (jagiellońskie?). Całe drzwi zostały pomalowane zwykłą farbą olejną koloru szarego. Może to spowodować ich wzmoczoną korozję, niewidoczną, a nie zabezpieczenie przed nią.

Latem 1976 — wewnątrz barokowego kościoła klasztorowego było częściowo odnawiane (nie konserwowane!) Zaangażowano do tego amatorów i to niezbyt biegłych. Jeden z drewnianych

tarzy bocznych (prawdopodobnie XVIII w.) został pokryty też olejną farbą. Podobnie parę lat temu wnętrze kościoła malował student (lub absolwent) ASP z Krakowa w czasie wakacji. Ponieważ zakonników nie stać było na całkowite opłacenie wykonywanych prac, pozwolono mu wybrać obrazy z wielu siedemnasto- i osiemnastowiecznych, walających się po strychu. Co zabrał? Nie wiadomo. Do klasztoru przylega piękny, stary ogród z ciekawie zaprojektowanym drzewostanem. Niestety, tu też wszystko się wali. Widać, że dawniej włożono w urządzenie ogrodu dużo pracy.

Zakonnicy ostatnio modernizują klasztor, m. in. obiekty sanitarne. Wykonują to, prawdopodobnie, bez nadzoru specjalistów od zabytków.

Samo miasto nie jest zabytkiem grupy „0”, jak to określa w swoim artykule Z. Dubiewicz. Jest natomiast zespołem zabytkowym gr. „1” („Przewodnik po Polsce”, wyd. IV, W-wa 1976). Na obszarze miasta niemal 80 proc. obiektów to zabytki, w dużej mierze autentyczne. Źródła z lat 1971—1972 wymieniają w Bieczu jako zabytek „0” późnogotycką farę (XV—XVI w.) ze wspaniałym wyposażeniem wnętrza (od gotyku po barok), późniejsze — żadnego (wykaz zabytków grupy „0” w Polsce na rok 1976). Natomiast „Przewodnik po Polsce” wyszczególnia oprócz zespołu miejskiego następujące zabytki „1”: późnogotycka fara, ratusz, fragmenty zachowanych murów miejskich z basztami.

Czyżby degradacja Biecza? Nie sądzę. W zabytkowej farze prowadzone są obecnie prace konserwatorskie i możliwe, że po przywróceniu jej dawnego blasku powróci ona na listę zabytków „0”. Jest przecież wiele obiektów, które uznano za „zerowe” po konserwacji lub... rekonstrukcji. Ogólnie ustawa mówi: „Do grupy „0” zalicza się zabytki architektury i budownictwa o najwyższej wartości artystycznej, historycznej i naukowej w skali światowej...”. Dodam od siebie: i te, o które się dba.

Idąc z klasztoru do starego miasta, po lewej stronie, na wysuniętej niczym rełuta skarpie widzimy budynek dawnego szpitala z 1487 r. Kilkakrotnie przebudowywany, zachował od zachodniej strony gotycki portal, jednak mniej cenny. Budowla straciła nieco z dawnego charakteru, jest mimo to cennym zabytkiem, szczególnie dla Biecza. Mieści się w niej internat dla uczniów liceum. Poobrywane rynny, zdewastowana kamieniarza, woda deszczowa żłobiąca gotycką kruszelącą cegłę. Teren dookoła to wielkie śmietnisko. Ster ty gruzu, papierów i różnego rodzaju odpadków, a jest to miejsce widokowe na dolinę rzeki Ropy. Tutaj znaleziono najstarsze ślady osadnictwa, tu stał zamek królewski i kościół św. Ducha.

Kruszą się też fragmenty starych murów miejskich. Niedaleko przed tzw. Grodem (tam, gdzie tablica poświęcona W. Potockiemu) smutna, oblamana

przez młodzież morwa dopełnia obrazu.

Blisko stąd do rynku, gdzie łśni od czystości. Ratusz swoją bielą wyniosłej wieży aż kłuje w oczy. Odrestaurowano go imponująco. Przy rynku, w zabytkowym domu legendarnego zbójca Biecza, kawiarnia. Gdy ją otwierano parę lat temu (przybyła nawet telewizja), wszystko łśniło i pachniało. Kelnerki rozbrajały uśmiechami.

Teraz, zanim się tam wejdzie, trzeba nawąchać się przykrego odoru moczu w sieni. Wrażenie (złe) nie mija po wejściu do wnętrza. Lokal nie grzeszy czystością, lista dań jest krótka jak nazwa Biecz, a kelnerki wolą własne towarzystwo, niż pracę.

Wracając do tematu: nie można powiedzieć, aby w Bieczu nikt o zabytki nie dbał. Co prawda, gdy rozpytywałem mieszkańców, kto się zabytkami opiekuje, nikt, nawet pani z informacji turystycznej, nie potrafiła mi wyjaśnić. Domyśliłem się tylko, iż udział ma w tym dr T. Sławski, kustosz miej-

scowego muzeum i autor kilku publikacji, m. in. „Biecz i okolice” („Sport i Turystyka”, W-wa 1973, wyd. III). Jest to bardzo przystępnie napisany przewodnik. Pani Zofia Dubiewicz spodobał się do tego stopnia, iż streściła go w swoim artykule, uzupełniła cytata-ami oraz własnym, trochę chybnym komentarzem. Jest to efekt pisania „za biurka”. W rzeczywistości odrestaurowano ratusz, kamieniczki przy rynku, basztę Radziecką (Katowską) z fragmentem murów. Konserwacji podlega wnętrze fary i dom Barianów-Rokickich... Obiekty te są położone przy przelotowej trasie i mogą rzeczywiście pozostawić u przejeżdżnego turysty obraz Biecza zadbanego i czystego.

Największą szansą rozwoju Biecza jest nie przemysł, a turystyka, rozumiana w szerokim i nowoczesnym znaczeniu tego słowa. Bo mimo wszystko, opuszczając to miasteczko żal, że trzeba powrócić w realność czasu. Pozostaje tęsknota za nastrojem sędziwej i zakurzonej perełki miast polskich.

Może się myśle, ale w Bieczu trzeba dzwonić na pobudkę — był tu dzwon, gotycki z 1382 r., ale go popsuto dokładnie w 1969 r., przy próbie spawania — bo odrestaurowały rynek i głów na ulica to mało.

Przykładem zadbania więc Biecz nie świeci, jak to chce zesugerować Zofia Dubiewicz. Cytuję: „Ale wciąż jest ono (miasto — przyp. B. K.) przykładem konsekwentnej dbałości o zabytki, co na tym małym skrawku zabudowanej zabytkami ziemi nawarstwiało historia...”

Taki „pokłask za darmo” nie zapewni miastu przyszłości.

Krzysztof Berenthal

## Krzyżówka (nr 11)

	1		2		3		4		5		6		7		8
9															
					10										
11									12				13		
					14				15						
16										17		18			
					19	20		21							
22			23									24	25		26
29								27			28				
34		35		36								37			
40															

Poziomo: 2. pisarz polski, autor wspomnień „Długie życie”, 9. wyspa z ruinami świątyni Artemidy, 10. półczłowiek i półkoziół w mitologii greckiej, 11. element, część do montażu, 12. państwo amerykańskie na równiku, 14. laso, 16. komedia Arystofanesa, 17. autor „Gargantui i Pantagruela”, 19. tekst zaczynający się od nowego wiersza, 22. do strzelania goli, 24.

Napierski, 27. kamień ozdobny zielonkawoniebieski, 29. śledzie zawijane, 31. urządzenie do ogrzewania wody, 32. wyrabia materiały tekstylne, 34. stolica Dolnej Saksonii, 37. zdobywca wojenna, 38. bogini mądrości, 39. ptak — godło, 40. stan ze stolicą Boston.

Pionowo: 1. sprzedaje losy, 2. duży pieczony pieróg nazywany, 3. jugosłowiański Fiat, 4. krzyżuje się z osnową, 5. popularny polski samochód, 6. sprzedal swe pierworództwo za miske soczewicy, 7. surowiec na piwo, 8. przelotne wrażenie, 13. dzwiga nieboskon na barkach, 15. imię autora „Achillesa i panien”, 18. stolica Azerbejdżańskiej SRR, 20. ryba hodowlana, 21. kij, 22. wyspa duńska na Bałtyku, 23. taniec kubański, 25. koati, 26. maszyna licząca, 28. zewnętrzny wygląd, 30. obawa, 33. uzupełnienie umowy, 35. część starożytnego świątyni z posągami bóstwa, 36. dynastia szwedzka panująca w Polsce.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. pocz. 231 20-861 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bony książkowe.

Rozwiązanie krzyżówki z nr 9  
Poziomo: plajtka, omęga, złoto, konwertor, Amado, elekt, sekundnik, efekt, ospa, rezus, dysk, Atos, kino, czyn, Niobe, ucha, praca, Pokolenie, autor, Rioni, Ondraszek, ucisk, aktor, sifon.

Pionowo: szafeta, korale, pokost, Jewtuszenko, Marek, Godebski, stan, Maika, Dostojewski, Indie, kasza, Oskar, rande, echnotnik, odaliska, uwaga, Persun, agonia, prosa, kacz.

Z 4 prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nr 9 bony książkowe po 40 zł każdy wylosowali: Wacław Ullasz Al. PKWN 840 20-612 Lublin, Stefan Janiec Skibińska 20-12 20-463 Lublin, Beata Belcarz Kotlarska 679 22-200 Włodawa, Irena Naszedusz 1-ge Maja 51 22-600 Tomaszów Lubelski.

### Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich.

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechczie-Rudnicka, Jerzy Dostatni, (sekretarz redakcji), Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunta Mańkowski, Zygmunta Mikulski (kierownik działu literackiego) — członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego) i Maciej Podgórski. Redaktor techniczny — Irena Komosa, korektor — Ewa Dybek.

Prenumerata na kraj przyjmuje Oddział RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH” oraz urzędy pocztowe i doręczyciele — w terminach:

— do 25 listopada na styczeń, i kwartał, i półrocze roku następnego i na cały rok następnego.

— do dnia 10 miesiąca, poprzedzającego okres prenumeraty na pozostałe okresy roku bieżącego.

Cena prenumeraty rocznej — 78.

Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH”.

Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW oraz prenumeratorzy indywidualni zamawiają prenumeratę w urzędach pocztowych lub u doręczycieli.

Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 50% droższa od prenumeraty krajowej przyjmuje RSW „PRASA-KSIĄŻKA-RUCH” Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa konto PKO nr 631-71 w terminach podanych dla prenumeraty krajowej.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. Kierownik działu literackiego przyjmuje interesantów w poniedziałki i piatki w godz. 14-16.

Wydawca: RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe, Lublin, ul. Jasna 6. Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne Im. PKWN, Unicka 4. Zam. 1304, 13.05.77 r. J-4.

Numer łamali: Mieczysław Psujek drukował zespół pod kier. Eugeniusza Kurendy

Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/1

Nr indeksu 36251

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35. Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.



# MYŚLI

**Marian Karczmarczyk**

Trzeba odnaleźć się w życiu, nim się zgubimy.

Najgorzej, gdy ktoś nie może znaleźć klucza do sensu zamkniętego w słowach, które powiedział.

Asekuranctwo dyrektora Iksa polega na tym: wydaje polecenia tylko tym, o których wie, że w porę poprawią jego błędy.

Przewyższa innych wyobraźnią. O sobie.

Cóż, że niejedna uważa męża za głowę domu, gdy mu na głowie siedzi.

**Władysław Katarzyński**

Jedynie bliskość beczki z prochem zmusiłaby go do szybszego myślenia.

Kto śpi, nie grzeszy. Chyba, że przespia.

Przespał czarną godzinę. Znowu zapomniiał nakręcić budzik.

Gdzie ręka rękę myje — nie pod stawiaj nogi!

Topiony brzytwy się chwytają.

Spragnionego zawsze napoi. Gdy nie ma z kim wypić.

**Józef Częścik**

Wielkie dzieła powstają w obcowaniu z innymi ludźmi, arcydzieła w samotności.

Wybierajcie w życiu najprostszą drogę, by możliwie najszybciej spotkać się z jego końcem.

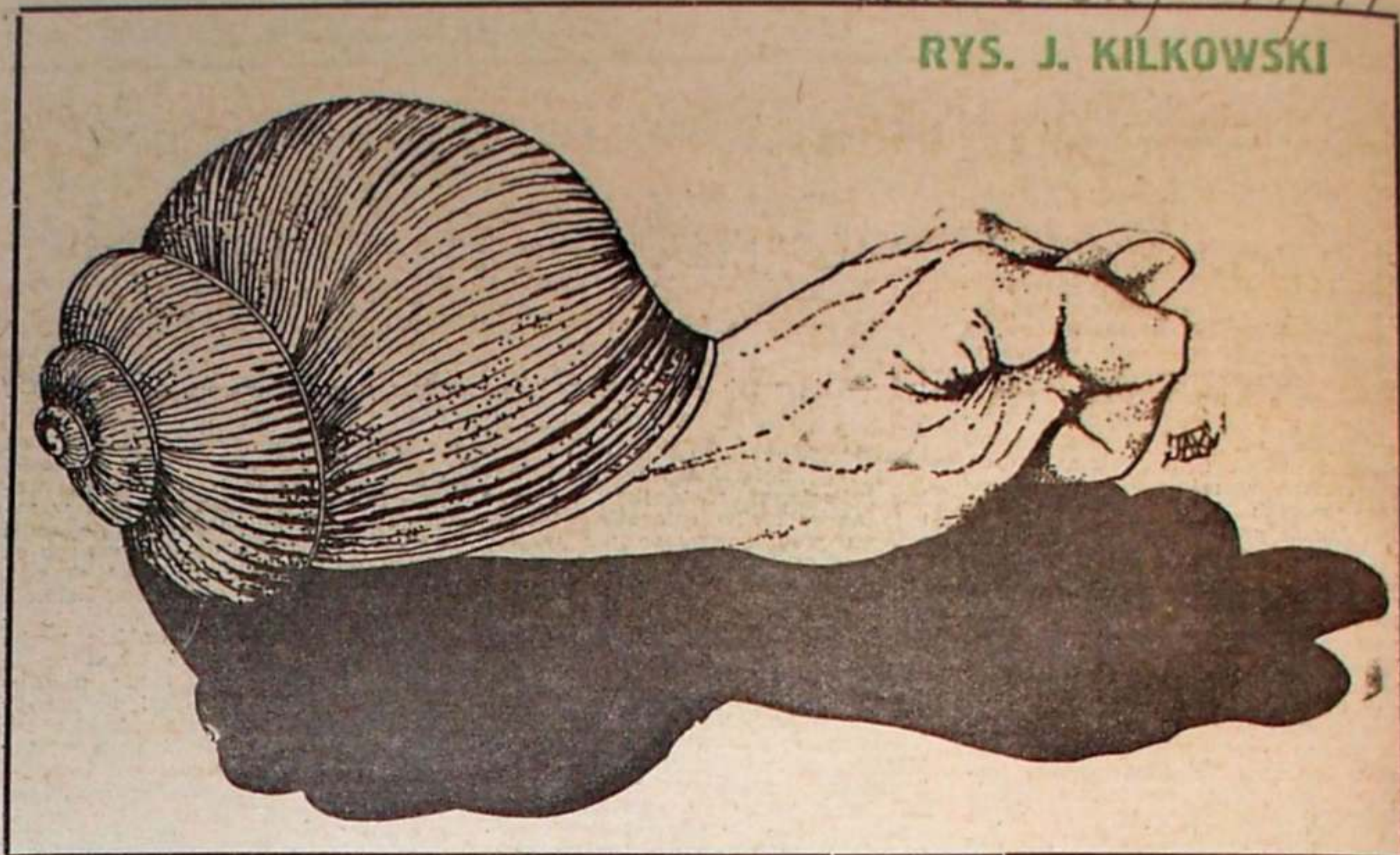
Głupi dają świadectwo prawdzie. Oczywiście o nich samych.

Nie każdy kto ma żonę Ksantypę będzie Sokratesem. Nie wszyscy też uczniowie Arystotelesa zostali Aleksandrami Wielkimi.

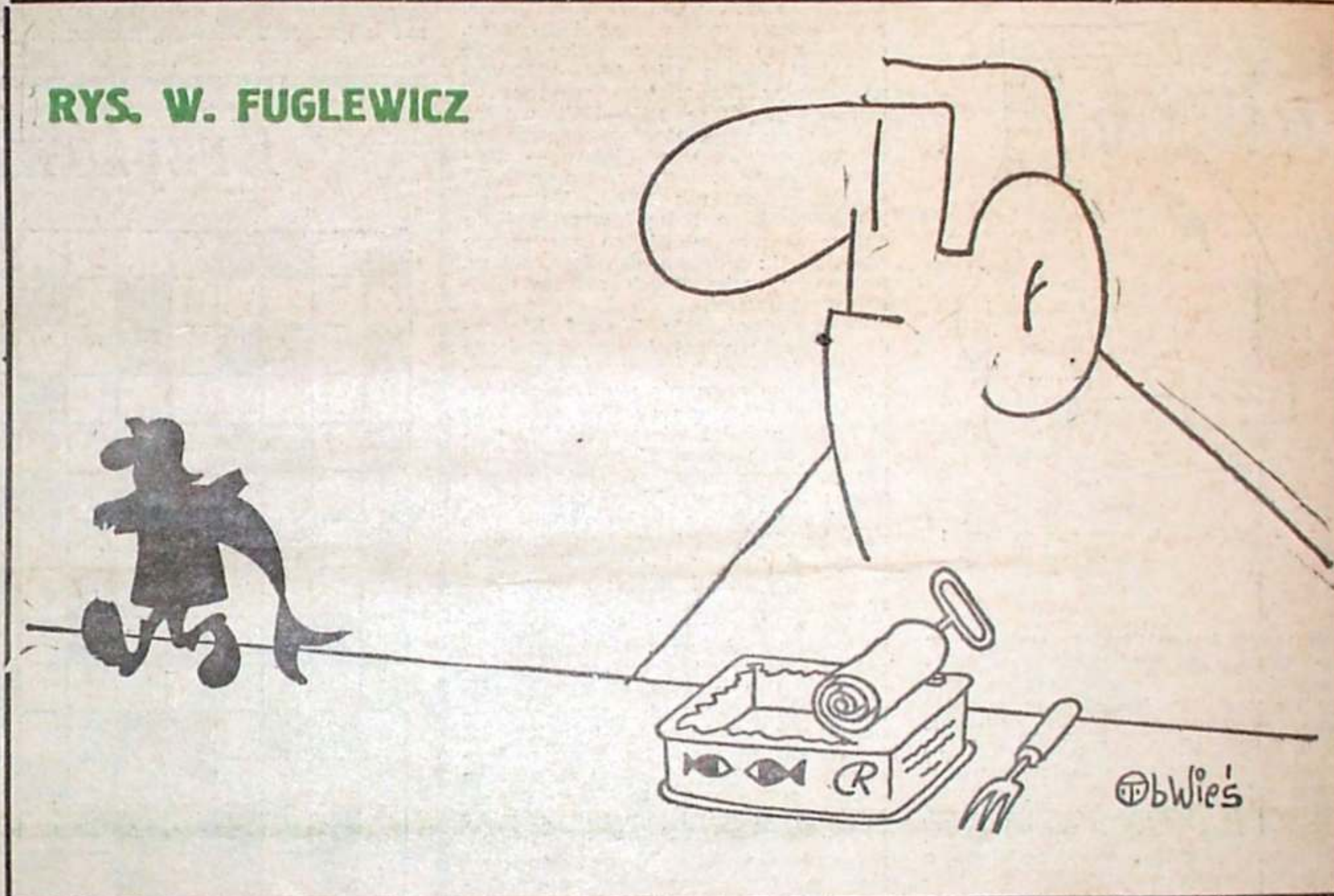
W człowieku drzemie szeroka skala możliwości. Drzemie.

c2012 2552/1977/11

RYS. J. KILKOWSKI



RYS. W. FUGLEWICZ



# HOROSKOPY

**BARAN**  
21 III—15 IV

Licz przede wszystkim na samego siebie. W domu sytuacja wciąż pewnemu skomplikowana. Nie denerwuj się, trzy razy pomyśl zanim cokolwiek powiesz. Uriop potrzebny ci jest teraz jak nigdy. Nie jedź jednak sam, weź — jeśli nie całą — kogos z rodziny. Pamiętaj, że masz bardzo słaby charakter!

**BYK**  
19 IV—20 V

Osoba płci przeciwnej, która tak się tobie zainteresowała ostatnio, ma w gruncie rzeczy więcej wad niż zalet. Lubisz, kiedy ci nadświadcą, pamiętaj jednak, że siódmy w nadmiarze może znużyć. Sprawa staje się dość głośna. Ludzie niekiedy bardziej interesują się cudzymi problemami niż własnymi. Uważaj, by ci to wszystko nie utrudniło życia.

**BLIŹNIĘTA**  
21 V—20 VI

Nie jesteś stworzony do życia rodzinnego, statosć uczuć nie leży w twoim charakterze. Oczywiście możesz drugą — jak to się zwykło mówić — połowę trzymać krótko, ale nawet najmocniejszy sznur często się urywa. Wzгляnij na siebie poważnie obowiązkami, dobrowolnie zresztą, wyciągaj więc z tego odpowiednie konsekwencje.

**RAK**  
21 VI—22 VII

Dzidiuś znowu się obraził! Można i tak, ale właściwie po co? W gruncie rzeczy masz zbyt wysokie mniemanie o sobie. Puszysz się, wydaje ci się, że ludzie cię podziwiają. Bzdura! Ludzie się tobą bawią. Twoim kosztem. Czy ty naprawdę jesteś ślepy?

**LEW**  
21 VII—22 VIII

Byłoby najlepiej, gdybyś mógł sobie sprawić samochód, wówczas bardziej uważałbyś na siebie. Oczywiście — alkohol. Nigdy nie wiesz, kiedy skończyć. Jeden kieliszek za dużo i skutki, jeśli nie złozone, to przynajmniej śmieszne. W pracy też się opuszczasz... Szef cierpliwy, ale, sam powiedz, jak długo jeszcze będzie tolerować twoje wybryki?

**PANNA**  
21 VIII—22 IX

Człowieku, naucz się panować nad swymi nerwami! Przecież ty nawet najświetszego ze świętych potrafiłbyś wyprowadzić z równowagi. Może przydałoby ci się więcej spacerów? Może powinieś sobie sprawić psa? A może po prostu poradzić się dobrego lekarza? Pomyśl, rób coś!

**WAGA**  
21 IX—22 X

Sam nie wiesz, kogo wybrać. Serce mówi tak, a rozsądek — nie. Jesteś między miotem a kowadłem. W tych wewnętrznych rozterkach nikt ci nie pomoże. Na szczęście jest jeszcze sporo czasu. Jakkolwiek jednak postanowisz i tak będziesz narzekać. Może więc jeszcze poczekać?

**SKORPION**  
21 X—22 XI

Prochu i tak nie wymyślił, bo inni uczynili to przed tobą. Ale od obowiązku myślenia wcale cię to nie zwalnia. Słuchaj dobrych rad, w tej sprawie i inni mają coś do powiedzenia. Wyjazd, który przed tobą, wykorzystaj dobrze. Potrzebny ci odpoczynek.

**STRZELEC**  
21 XI—21 XII

Cale życie szukasz, przebierasza i chyba sam już wiesz, że odpowiednio trafić nie możesz. Oczywiście owe poszukiwania będziesz kontynuować, choć zdajesz sobie sprawę, że to do niczego nie prowadzi. W istocie rzeczy szarpiesz się sam z sobą, co tylko wyczerpuje twoją energię. Spalasz się coraz bardziej. Dobrych rad nie oczekuj, z góry wiesz, że ostatnia znajomość to też nie to, o czym podawiałom marzysz...

**KOZIOROŻCA**  
22 XII—20 I

Kto jak kto, ale osoby spod znaku Koziorożca powinny być zadowolone z życia. Wszystko układają się pomyślnie, forsa pcha się oknami, chociaż nie wszyscy umieją to odpowiednio docenić. Ale uwaga! Uwaga na pewną listotę spod znaku Raka! To twarzystwo jest zupełnie nieodpowiednie. Tego ostrzeżenia nie zlekceważ!

**WODNIK**  
21 I—15 II

Jeszcze nie masz dość tej znajomości? Spotkały cię pewne przykrości, masz rację, że nie zasługiwałeś na nie. Należałoby teraz wyciągnąć odpowiednie wnioski. W tej mierze pouczaj siebie nie trzeba, zwykłaś chodzić własnymi drogami. Czy wybierasz najodpowiedniejsze — już sprawa zupełnie inna.

**RYBY**  
15 II—20 III

No tak — kłopoty rodzinne. Nie dawaj się bujać, dobrze będzie, gdy częściej wystąpisz w roli kontrolera. Ktoś, kto raz zawiódł twoje zaufanie, nie zasługuje na zbytnią pobłażliwość. Jeśli cokolwiek ci teraz potrzeba — przede wszystkim energia. Nie żałuj pasa. Nie tylko w przeobrażeniu!

Stella